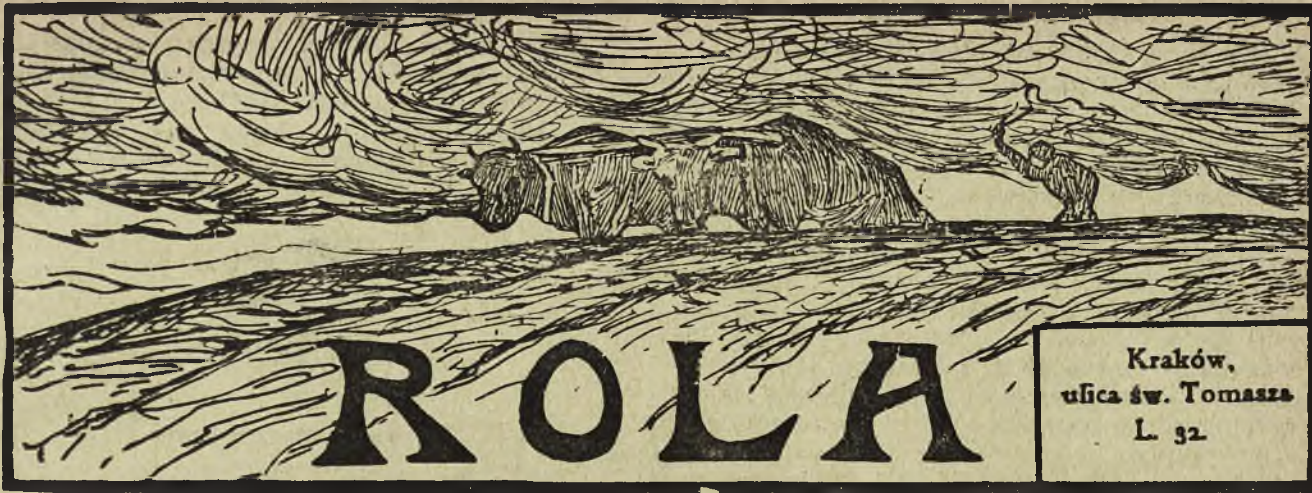
Numer 18. Nal. pozt. opł. rycz. **Dnia 5 Maja 1929**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nauka nie poszła w las.

Na konferencji pewnego stowarzyszenia młodzieży, przewodniczący porusza różne zagadnienia, a między innemi że: jako członkowie stowarzyszenia powinni się odznaczać z pośród reszty chłopców, — łagodnością i chętnem darowaniem uraz. Po chwili, gdy chłopcy znaleźli się na podwórku rekreacyjnem, przychodzi Wacek do Jacka i pyta:

— Jacku słuchajno, — coto właściwie jest cierpliwość? — Co, jeszcze tego nie wiesz? — I tu wymierzył mu potężnego szturchańca pod żebra. Gdy ten skrzywił się niemiłosiernie z zamiarem odwetu; Jacek objaśnia ironicznie: Widzisz! gdybyś miał cierpliwość wcale byś się na mnie za to nie gniewał, ale raczej był mi wdzięcznym, że z takiej drobnostki możesz mieć zasługę.

— Ach, to tak! Teraz rozumiem, i w tym momencie obdarzył Jacka kułakiem między oczy mówiąc: Bądźże i ty cierpliwym, a będziesz miał zasługę. Lecz w tejże samej chwili ręka Jacka zetknęła się katastrofalnie z nosem Wacka tak, że w miejsce iskier, posypały się krople krwi, co gdy ujrzał przewodniczący krzyczy: — Chłopcy bójcie się Boga, co wy tam robicie?!!

— Nic, nic proszę księdza, ćwiczymy się w cierpliwości!



Przyłapała go.

— Nędzniku, i ty chcesz mi kłamliwie wmówić, że o drugiej w nocy byłeś u naszego przyjaciela Armanda? Śmiesz to twierdzić właśnie mnie, która o tej porze znajdowałam się u niego!

Zastępstwo.

— Używa pan w domu szwedzkiej gimnastyki?
— Nie. Moja żona bierze codzienie lekcję śpiewu.
— Co to ma z tamtem wspólnego?
— Ma, bo tę godzinę, kiedy moja żona puszcza z siebie tony, ja latam jak wściekły po pokojach i to mi wystarcza za wszystkie szwedzkie gimnastyki.



Na wsi w starym kraju.

Nauczyciel: — Jakto koza? metryka?
Kuba: — Koza, proszę pana nauczyciela.
Nauczyciel: — Jakto koza?
Kuba: — Ano, bo koza robi „me" i tryka.



Spragniony.

Do drzwi gospody puka włóczęga i błagalnym głosem mówi do gospodyni:

— Pani łaskawa, mam szalone pragnienie...

— Biedaku — mówi kobiecina — poczekajcie chwilę, dam wam zaraz wody.

— Powiedziałem pani, że mam pragnienie, a nie, że chciałbym się omyć — woła oburzony włóczęga.

Numer 18. Rok XII. Kraków, dnia 5 Maja 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie;
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Witaj majowa jutrzenko!

Witaj majowa jutrzenko! Świeć naszej polskiej krainie. Witamy ciebie piosenką, która w całej Polsce słynie!... — Śpiewamy z całej piersi w owym wiekopomnym dniu 3-go Maja. Tak! śpiewamy i świętujemy ten dzień, robimy rozmaite uroczystości, ale może nie wszyscy wiemy, co to była ta konstytucja i co my jej mamy do zawdzięczenia

Otóż spróbuję skreślić zwięźle najważniejsze dane dotyczące konstytucji i epoki przed i rozbiorowej. Od czasu powstania państwa polskiego rządzili Polską rozmaici książęta i królowie. Jedni z nich rządzili mądrze i ci zasługują na błogosławieństwo z naszej strony; inni znowu przez rządy złe a częstokroć zgubne zostali przez historję potępieni. Od początku swego istnienia musiała Polska walczyć ze swymi wrogami — sąsiadami, z pośród których na pierwsze miejsce wybiły się Niemcy. Dopóki w Polsce był posłuch, wszelkie zakusy nieprzyjacielskie zostawały odpierane. Jednak z biegiem czasu szlachta polska coraz bardziej nad innych się wynosiła, a co zatem idzie, coraz bardziej znęcała się nad swymi poddanymi — chłopami, tembardziej, że poszczególni królowie nadawali jej coraz to nowe przywileje. Zginęła miłość ojczyzny, zginął duch rycerski, a wzięła górę buta, zarozumiałość, skłonność do pijatyki i biesiadowania.

Byli ludzie, którzy przepowiadali zgubę, do których należał ks. Piotr Skarga, ale głos ich był głosem wołającego na puszczy. W Rosji panowała podówczas wszechwładna caryca Katarzyna II, która, widząc co się w Polsce wyrabia, nie omieszkała położyć swej ciężkiej ręki na państwie polskiem i odtąd Polska zależna była od wpływów carycy. Ale nie dość na tem. Carycy zamało było tego, postanowiła przeto Polskę wykreślić z mapy Europy i w porozumieniu z władcami Austrji i Niemiec przystąpiła do I rozbioru Polski, który nastąpił w roku 1772. Dopiero teraz naród przejrzał ale niestety! Jednak trzeba się było zabrać do ratowania tej resztki ojczyzny, która pozostała. Do tej naprawy przystąpił Sejm Wielki czyli Czteroletni, nazwany tak dlatego, ponieważ obradował bez cztery lata. Sejm ten opracował nową konstytucję i naznaczono ogłoszenie jej w dniu 5 maja 1791 r. Niestety! tajemnica konstytucji została zdradzona, to też mimowoli przyśpieszono termin o 2 dni t. j. na dzień 3 maja. W dniu 3 maja została więc konstytucja ogłoszona i zaprzysiężona przez króla, posłów i przez naród cały. Był to czyn wielki, który świadczył, że Polacy zdolni są do wielkich poświęceń. Najważniejsze paragrafy konstytucji orzekały, że:

Religja katolicka jest religją panującą, ale i inne wyznania mają zapewnioną opiekę rządu. Znosi się wolną elekcję i tron w Polsce ma odtąd być dziedziczny. Władza królewska ma być rozszerzona i wzmocniona. Mieszczaństwo ma być dopuszczone do udziału w sejmach na równi ze szlachtą. Znosi się pańszczyznę a lud wiejski ma zapewnioną opiekę rządu i rząd ma starać się o poprawę jego doli. Znosi się raz na zawsze zgubne Liberum Veto t. j. zrywanie sejmów jednym głosem. Sejm ma zbierać się co 25 lat celem sprawdzenia, czy konstytucja jest należycie wykonywaną.

Jak widzimy, konstytucja 3-go Maja dawała ustawy zdrowe i mądre; wyzwalała chłopów z pod jarzma pańszczyzny, a to przecież dużo znaczyło. Dzięki jednak Katarzynie II, konstytucja ta nie weszła w życie, do czego w znacznej mierze przyczynili się sami Polacy, zdrajcy, których przywódcami byli: Branicki, Potocki i Rzewuski. Widocznie do zmazania dawnych grzechów potrzebna była ofiara krwi, którą w późniejszych czasach lał naród polski bardzo obficie, ale dzięki Bogu nie nadarmo, bo gdy już zostały odkupione dawne grzechy, Bóg powołał nas do nowego życia.

Baczmy więc, abyśmy tak drogo okupionej wolności nie stracili, bo i teraz mamy wrogów, którzy gotowi są do powtórzenia smutnej przeszłości. A więc do walki! Chwyćmy wszyscy za broń bez różnicy stanu i wieku a wywalczymy sobie lepsze jutro. Naszą jedyną bronią to praca. Pobudką do tej pracy nad samym sobą i nad polepszeniem doli własnej i współbraci niech nam będzie piosnka bardzo na czasie:

Mamy wolność więc, Rodacy
Praca dziś to nasza broń!
Do pracy razem do pracy!
W ciszy zgodzie dłonią w dłoń...

Frączek Tadeusz.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ III.

Wśród zgliszcz i popiołów.

Już świt poranny zaróżowił wschodnią część nieba, a jeszcze dopalały się resztki nieszczęśliwego Jampola. Tu i ówdzie słychać było tylko pryskanie dopalającego się ognia, to gdzieś pies zawył żałośliwie z tęsknoty za swoim panem. Dym i swąd unosił się w powietrzu, a żywej duszy nie było nigdzie, którаby mogła opłakiwać owo straszne zniszczenie.

Tatarzy, zrabowawszy wszystko, co tylko przedstawiało jakąkolwiek wartość, uszli spiesznie, obawiając się ewentualnego pościgu. Zabranych mężczyzn skrępowali powrozami i poprzywiązywali do zapasowych koni, dziewczęta i kobiety oddali pod straż oddziału pohańców, nad którymi objął komendę straszny i nieubłagany Samon. Musiały iść pieszo, krwawiąc i raniąc swe stopy, a jeżeli która ustawała w tej przymusowej podróży, popędzano ją biczami, smagając nielitościwie po plecach i nogach. Co najładniejsze uniknęły tylko tego przykrego losu. Te polecił Achmet usadowić na koniach i chronić je przed zmęczeniem i możliwym wypadkiem, gdyż przeznaczał je do specjalnych celów, sobie tylko wiadomych. Do nich należała Hanusia, Basia, Ksenia, Marcysia i Jadwisia Skowrońska.

Ten osobliwy pochód szedł ku południowemu zachodowi wzdłuż Dniestru, aż przeprawił się na jego brzeg prawy dopiero poniżej Kuźmina i zaszył się w lasy, które się tu rozciągały aż popod samą Bielcę.

A tymczasem dymiące zgliszcza Jampola poczęły się ożywiać. Z tych, którzy uszli pogromu tatarskiego, najpierw jeden, potem drugi, poczęli się skradać ku spalonym swoim siedzibom, nadsłuchiwać, czy aby tam jeszcze nie było Tatarów, a gdy się przekonali, że nie pozostało z nich i śladu, poczęli biedz, aby się naocznie przekonać, iż wszystko, co mieli najdroższego, znikło bezpowrotnie.

Wracało ich coraz więcej, a gdy dzień się zrobił dobry, wśród spalenisk wsi zebrało się kilkunastu chłopów i trzy, czy cztery kobiety. Rozglądali się, czy nie znajdą czegoś, coby mogli jeszcze ocalić, coby mogli jeszcze dla siebie zachować. I znajdywali, ale to, co znajdywali, nową boleścią przeszywało ich serca i z piersi wyrywało krzyk rozpaczy. Bo oto tam leżała żona jednego z roztrzaskaną głową, a dalej dzieci drugiego srodze pomordowane przez dzicz tatarską. Napotykali ciepłe jeszcze trupy, napotykali i żyjących, którzy ostatnie tchnienie wydawali. Tylko dwóch chłopów napotkali, o których można było przypuszczać, że straszny ten najazd przetrzymają. Ale i z tych jeden miał przetrąconą nogę, a drugi, dźgnięty kindżałem przez Tatara, cały pławił się we krwi. Zajęto się nimi, obmyto rany i zabandażowano je szmatami.

Wśród pogorzeliska dwór jampolski stał nietknięty, jakby oaza wśród strasznej pustyni. Tam skierowali się ocaleni z pogromu. Błysła w ich umysłach jeszcze nadzieja, że może tam znajdą przecież kogo, kto ocalał z tej całej rzezi i że może ten opowie im coś więcej o tych, których utracili. Ale i tu nie mieli spotkać żadnej pociechy. Na podwórzu walało się kilka trupów mieszkańców Jampola, które leżały pomiędzy trupami większej ilości poległych Tatarów. Oto tam jakiś wieśniak wsparł swą głowę na piersi tatarskiej, jakby się do snu smacznego ułożył, i leżał tak bez ruchu, nie nagabywany przez swojego sąsiada. Oto dalej spotkali dwóch, do niedawna wrogów, którzy jeszcze teraz trzymali się w śmiertelnym uścisku; leżeli jednak bez ruchu pogodzeni na zawsze nieubłaganą śmiercią. A im bliżej zabudowań dworskich, tem trupów tych było więcej. W izbach leżało ich kilkadziesiąt, a wszystkie z ranami okrutnemi zadanemi kindżałami, siekierami, widłami, kołami lub bronią palną. Jedna tylko dziewczyna niezwykłej urody leżała w tej ciżbie ludzkiego mięsa, która, jak to było widoczne, nie padła z ręki nieprzyjaciół. Leżała cicho, jakby uśmiechnięta, trzymając jeszcze kindżał w ręce, którym sobie śmierć zadała. Prawdopodobnie podniosła go porzucony w czasie walki i sama odebrała sobie nim życie, aby uniknąć straszniejszej nad śmierć niewoli.

Już ci żałobni poszukiwacze mieli opuścić ściany dworu, kiedy z przyległej izby usłyszeli cichy jęk, jakby wychodzący gdzieś z pod ziemi. Pospieszyli tam corychlej.

Na sofce obok ściany leżał pan Stawski, blady niezmiernie i cały krwią zalany, ale dający jeszcze słabe znaki życia. Poczęli go skrapiać wodą i krew z twarzy obcierać. Otworzył na chwilę oczy, ale zaraz przymknął je z powrotem. Jeden z wieśniaków pobiegł do piwnicy, aby poszukać tam jakiegoś orzeźwiającego napoju. Na schodach natknął się na trupy Tatarów, pogrążonych w śnie wiecznym przez Walka. Pominął nieboszczyków i wynalazł gdzieś pozostawioną przypadkiem butelkę wina. Przyniósł ją na górę i parę kropel wpuścił do ust pana Stawskiego. Wino wywarło niemal momentalnie swój skutek. Pan Stawski otwarł oczy, przebiegł nimi po otaczających go, jakby chciał pytać o zaszłe wypadki, ale słowa wymówić nie mógł. Wpatrywał się w nich tylko i widocznem było, że sobie chce przypomnieć to, co tutaj się stało, ale, zdaje się daremnie się trudził, gdyż westchnął jedynie ciężko i znów zamknął swe strudzone oczy.

Chłopi pokiwali głowami, porozmawiali cicho pomiędzy sobą i postanowili pozostawić przy panu Stawskim straż, którаby czuwała nad nim i wrazie potrzeby przyszła mu z pomocą. Kobiety postanowiły postarać się o jakiś posiłek dla chorego. Ale nie było to rzeczą łatwą, gdyż niemal wszystka żywność w całym Jampolu poszła z dymem tak, że nawet zdrowi nie mieli narazie co do ust włożyć. A dla chorego trzeba było wymyślić coś pożywniejszego, choćby łyżkę rosołu, aby prędzej mógł sił nabrać i podnieść się z łoża boleści.

Wśród zgliszcz i popiołów wałęsało się kilka sztuk drobiu, który wystraszony pożarem, uszedł w pola i dopiero o świcie powrócił do dawnych swych siedzib. A gdy ich nie znalazł, błąkał się tu i tam, jakby nie wiedząc, co z sobą począć. Pochwycono jedną sztukę i przeznaczono ją na pożywienie dla pana Stawskiego. Niemal kropla po kropli wpuszczano odżywczy płyn w spieczone usta chorego. Wywierało to swój skutek. Niemal po każdej dawce otwierał szerzej oczy, wpatrywał się nimi w karmiących, a po niejakim czasie wyszeptał nawet:

— Dosyć!... Dziękuję!

Teraz jednak nie zamykał oczu. Sen i pożywienie pokrzepiły go do tego stopnia, że mógł przynajmniej patrzyć i myśleć. A myśli te skierowały się w pierw-

szym rzędzie do tych, które mu były najdroższe, a więc do żony i Hanusi. Zapytał też więc:

— A gdzie żona?... Hanusia?...

Wieśniacy popatrzyli na siebie, ale żaden nie miał mu odwagi wyjaśnić całej prawdy. Nikt też nie odezwał się ani słowa. Lecz milczenie to było wymowniejszą odpowiedzią od jakichkolwiek wyjaśnień. Zrozumiał je pan Stawski i domyślił się strasznego nieszczęścia, jakie go i jego najdroższe istoty spotkało. Przed oczyma stanął mu cały napad, bohaterska obrona i to, co później zajść musiało, a czego już nie widział. Co jednak było później? Kto padł trupem, a kogo uprowadzili Tatarzy? Pomiędzy którymi była jego żona i córka? Chciał pytać o to, ale głos zamierał mu w piersi, bał się usłyszeć strasznej prawdy, boć jakąkolwiek onaby była, straszną być musiała.

Tak te myśli wzburzyły resztki krwi rannego, że pomimo niemocy ogromnej podniósł się na otomance, jakgdyby chciał wstać i biedz im na ratunek. Ale siły mu nie dopisały. Osunął się z powrotem, jak dąb ręką podcięty.

— Mówcie mi — rozkazał. — Chcę wszystko wiedzieć, gdyż najstraszniejsza prawda jest lepszą, aniżeli wszelkie domysły.

Wieśniakom jakgdyby usta zamarzły. Spoglądali na siebie, ale bali się słowa przemówić. Po długiej chwili dopiero, gdy pan Stawski jeszcze kilkakrotnie powtórzył swe życzenie, jeden z nich rzekł:

— Pani dziedziczka nie żyje! A co z panienką, nie wiemy, gdyż nigdzie jej niema.

Załamał pan Stawski dłonie, łzą zaszkliły się mu oczy, ale nie mógł ani przemówić, ani podnieść się, ani nawet jęku ze zbolałej piersi wydać. Usta poruszały się jeno nieznacznie, jakgdyby szeptały słowa modlitwy, jakgdyby błagały o moc i przetrzymanie tego strasznego ciosu, jakgdyby prosiły o pomoc.

Wieśniacy nie przerywali tego bolesnego skupienia. Stali kołem i patrzyli na boleść swego pana i współczuli z nim, gdyż był im zawsze ojcem i najlepszym przyjacielem. Zresztą, co tu było mówić. Wszak i z nich każdy utracił kogoś z swych najdroższych w tym całym najeździe, a jeno byli oni o tyle szczęśliwsi, że z krwawej opresji wyszli cało, że mogli się poruszać i jako tako sobie radzić.

Pan Stawski po długiej chwili milczenia uspokoił się nieco. A nietylko uspokoił, ale nabrał nawet sił, gdyż wsparł się na łokciu, a nawet podtrzymany przez wieśniaków zdołał usiąść na otomance. Kazał sobie opowiadać wszystko, co i jak było w Jampolu.

Języki wieśniaków rozwiązały się teraz. Jeden przez drugiego opowiadali ogrom zniszczenia, opisywali zgliszcza swoich siedzib, wyliczali imiona poległych w czasie napadu. A imion tych była litanja długa. Niemal połowa mieszkańców Jampola spoczywała snem wiecznym na krwawem pobojowisku. Między poległymi mało było mieszkańców w sile wieku, polegli bowiem z młodych tylko ci, którzy bronili się do ostatka. Innych powiązano i uprowadzono ze sobą. Pod nożami Tatarów już po zwycięstwie padli jednak wszyscy starcy i kobiety brzydsze i słabsze. Silnych mężczyzn i kobiety co urodziwsze zabrano w jasyr, aby jednych sprzedać na targowicach muzułmańskich, a drugie poprzeznaczać do haremów bogatych Turków i Tatarów...

Krwawiło się serce pana Stawskiego, krwawiły się serca zgromadzonych włościan, gdyż wiadomem było wszystkim, że kto się raz dostał do niewoli tatarskiej, rzadko z niej powracał, trzeba było bowiem bardzo wielkiego okupu, aby wyswobodzić uprowadzone istoty, a choćby się i okup znalazł, to trudno było w tem wielkiem mrowisku tatarskiem wyszukać tych, których się szukało.

Wiedzieli o tem wszyscy dobrze, to też świadomość ta powiększała jeszcze i tak już wielkie nieszczęście.

Kiedy pan Stawski wysłuchał tych mrożących w żyłach opowiadań, wyciągnął do zgromadzonych swe dłonie, jakgdyby wszystkich chciał przytulić do swego łona i cichym ale mocnym głosem powiedział:

— Bracia! Nieszczęście to straszne jeszcze silniej nas ze sobą złączyło. Od dziś stajemy się jakby jedną rodziną. Ja z swej strony poświęcę wszystko, całe me mienie, aby choć kilka osób ocalić. Będę szukał Hanusi, ale narówni będę szukał i innych nieszczęśliwych, a kogo los dozwoli mi odnaleść, nie będę szczędził pieniędzy, by go z tego piekła wydobyć.

Odetchnął ciężko, gdyż mówienie męczyło go wielce, ale po chwili tak dalej ciągnął:

— Czuję to, że odzyskam wkrótce siły, więc co będę mógł, uczynię. Wkrótce powinien powrócić pan Jaszczur z Lipkami... Pomogą!... Może uda im się jeszcze dopędzić gdzie watahę i odbić jasyr. Może... może... w Bogu nadzieja!...

Osłabł, gdyż zbyt to był wielki wysiłek dla rannego. Osunął się na otomankę, przymknął oczy, ale znać było, że marzy o powrocie Stacha i o pościgu za Tatarami.

A Stach wracał rzeczywiście. W ową noc, w którą Tatarzy napadli na Jampol, był od niego niezbyt daleko. Może być, że nawet przy pospiesznym pochodzie byłby przybył na czas, aby wsiąść na karki rozhulanej dziczy. Ale oddział jego w drodze powrotnej natknął się na inną niewielką watahę tatarską, uchodzącą z łupem z jakiejś zrabowanej wioski. Wprawdzie wataha to była niewielka, ale w każdym razie przewyższała siły, jakiemi rozporządzał pan Jaszczur. Mimo to Stach nie zawahał się ani chwilę. Wydał rozkazy swoim Lipkom, a ci, jak huragan uderzyli na niespodziewających się niczego Tatarów.

— Bij! morduj! — wrzasnęli po polsku Lipkowie i puścili konie w skok, który wkrótce przemienili w galop. Zadudniała ziemia, zaszumiało wstrząśnięte biegiem powietrze i pierwsi Lipkowie uderzyli w Tatarów z takim impetem, że aż ziemia zadrżała i rozległ się zgrzyt krzyżowanych szabel, jakgdyby ktoś młócił zboże na dworskiem klepisku.

Nie mogli Tatarzy wytrzymać tego uderzenia, więc też pod silnym naporem poczęli pierzchać i uchodzić co żywo, aby tylko życie ocalić. Na karkach ich jechali Lipkowie i kłuli, ile tylko sił im starczyło. Tatarzy jednak spostrzegli wkrótce, że mają do czynienia z słabszym od siebie liczebnie przeciwnikiem. Poczęli więc wstrzymywać rozigrane w biegu konie i odgryzać się najezdnikom. Około tych, którzy się pierwsi zatrzymali, gromadziło się innych coraz więcej i po niedługiej chwili Lipkowie od ataku musieli przejść do obrony.

— Ałłah! Ałłah! — rozległ się wrzask z gardzieli tatarskich i runęli całą siłą na oganiających się Lipków.

Ale przewidział to pan Jaszczur. Dał znak, a Lipkowie momentalnie zawrócili konie i poczęli uchodzić.

Wsiedli im na karki Tatarzy i starali się za wszelką cenę uszczknąć to tego, to owego. Lipkowie jednak manewrowali tak zręcznie, że wszelkie usiło-

wania ich pozostały bezskuteczne. Widocznem było, że Lipkowie górują nad Tatarami, gdyż posiadali narówni z nimi zręczność, a przewyższali ich rozwagą, jaką dawała im kultura polska. Wskutek tego utworzył się niejako długi wąż, którego głowę i szyję stanowili Lipkowie, tułów zaś cała chmara Tatarów. Stach pędził obok Lipków o kilkadziesiąt kroków z boku, jakgdyby chciał mieć jasny pogląd na to, co się obok niego dzieje, i na to, co na najbliższą przyszłość przygotował.

Nareszcie szyja owego ruchomego węża poczęła się coraz bardziej kurczyć, a głowa zbliżać do tułowia. Nagle Lipkowie zawrócili konie w miejscu i z krucic sypnęli ogniem w same pyski nadlatujących Tatarów. Krzyk wściekłości wyrwał się z piersi pohańców. Już gotowali się do zadania ostatecznego ciosu garstce szaleńców, gdy poza sobą usłyszeli mrożący krew w ich żyłach okrzyk:

— Bij! morduj!

To druga część Lipków, zręcznie ukryta przez Stacha przed rozpoczęciem ataku, przychodziła swym towarzyszom z pomocą. Wzięci z dwóch stron Tatarzy w śmiertelny uścisk, nie wiedzieli przed kim się bronić. Łuszczono ich, jak groch suchy, a oni rozpryskiwali się, jak ten groch na wsze strony. Pan Jaszczur, mając przy swym boku nieodstępnych towarzyszy: Selima i Ibrahima, aże wodą spływał od bezustannego młócenia. Co wykonał ruch swą szabelką, to jeden z Tatarów przenosił się na łono Ałłaha, a poruszeń tych było bez liku. Lipkowie sekundowali mu niezgorzej. To też banda tatarska poczęła pryskać i rozsypywać się. Coraz częściej pojedynczy jeźdźcy odłączali się od masy walczących i znikali bez śladu. Zwycięstwo Lipków stawało się coraz widoczniejsze. Wprawdzie jeszcze tu i ówdzie zbierały się oddzielne kupy i stawiały zacięty opór, ale Lipkowie rąbali je bez pardonu i po przez rzeżące jeszcze trupy szli dalej i dalej, aż stali się zupełnymi panami sytuacji.

Owoce zwycięstwa były nadspodziewane. Rozgromieni Tatarzy rozbiegli się po całej okolicy i w pojedynkę szukali drogi powrotu do stron ojczystych. Zwycięzcom pozostał w nagrodę cały łup i zabrany jasyr, pochodzący z wioski, odległej zaledwie o dwie godziny drogi od miejsca krwawej potyczki.

Pan Jaszczur, oswobodziwszy jeńców, nie pozostawił ich na pastwę losu. Dawszy tylko krótki odpoczynek ludziom i koniom, odprowadził oswobodzonych do ich rodzinnej wioski, a sam podążył z swym oddziałem do Jampola, który tak bardzo potrzebował jego powrotu.

Zwycięstwo było znakomite i radowało wielce serce pana Jaszczura. Nie wiedział on jednak, jak srogo było okupione. Mimo to dążył co żywo tam, gdzie mu nakazywał nietylko obowiązek, ale i serce pociągało. Wdychał całą piersią wiatr, który zawiewał od Jampola i cieszył się w myśli, że oddycha temsamem powietrzem, co i jego umiłowana Hanusia.

Ale wnet ten powiew wiatru jampolskiego począł go niepokoić. Powietrze stawało się coraz jakieś cięższe, jakby przydymione; czuć było w niem swąd i spaleniznę. A im bliżej było Jampola, tem powietrze to było niewyraźniejsze. Jakieś złowrogie przeczucie przejęło lękiem serce pana Jaszczura. Jeszcze nie zdradzał się z niem, ale począł przyspieszać pochód. Zdaje się, że i Lipkowie poczęli się czegoś domyślać, gdyż puścili najpierw konie truchtem, potem ruszyli w skok, a wnet śmignęli pełnym galopem.

Nareszcie zrozumieli swój niepokój. Jampol znikł z powierzchni ziemi, a jeno w oddali widny był sam dwór, samotny i opuszczony.

Przypadli do pierwszych zgliszcz. Nie było wątpliwości: Tatarzy! Znikły chaty, znikli ludzie; pozostał sam dwór. Ale we dworze co? Czy aby żyją, czy też podzielili los reszty mieszkańców. Myśl, aby się o tem przekonać, dodawała skrzydeł Stachowi. Pędził, jak huragan, a przypadłszy przed drzwi dworu jampolskiego, skoczył z konia i wpadł do izby, gdzie leżał pan Stawski w otoczeniu włościan.

Bez słowa wyjaśnienia zrozumiał całą prawdę.

— Przysięgam, że ją odnajdę! — zawołał i padł zemdlony, jak kłos na ściernisku sierpem podcięty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Powraca wiosna!

Powraca wiosna, o, wieść radosna,
Wszystko się budzi do życia,
W polu, w ogrodzie, w ziemi i w wodzie
Powstaje z swego ukrycia.

Słońce rzuciło, snop światła miło,
Na ziemię miłą, skostniałą
I twarde lody stopiło w wody
I zmarzłą ziemię rozgrzało.

Cały chór ptaków, leśnych śpiewaków
Zleciał do lasu, do gaju,
I tak rozgłośnie, śpiewają wiośnie,
Że człowiek staje jak w raju.

A my wieśniacy, także do pracy
Bierzmy się raźnie, z ochotą!
Wsiewajmy ziarno, w tę ziemię czarną
Będziemy mieć chleb i złoto!

Bo gdy po wiośnie zboże wyrośnie,
Pan Bóg nam dobre da lato!
Wróci dostatek do naszych chatek,
Będziem mieć Polskę bogatą!

Szczepan Orzech.



Wiosna.

Rozpogódźcie smutne twarze —
Moi mili gospodarze,
W radość zmienią się wam troski
Wiosenka idzie do wioski.

Idzie przez pola i łąki,
Puszcza stadami skowronki
Cudną woń rzuca po gaju,
I szepce baśń sercom o — maju.

Idzie przez sady, podwórza,
Zieleni stoki i wzgórza,
I życie w wszelkie stworzenie wlewa...
Idzie jak dziewczę i śpiewa...

Idzie wiosenka, cieszcie się dziatki
Zakwitną w lesie i w polu kwiatki
Zaszumią rzeki pieśń uwielbienia,
O bo wiosenka źródłem natchnienia.

Hej, hej wiosenka, poezja żywa,
Już na fujarce pasterz wygrywa,
Budzi z martwoty zimy i lodu —
Serca stroskane i pełne chłodu.

Idzie wiosenka, hen gdzieś z zaświata,
I młode serca tuli i brata,
Dziwną otuchą napełnia dusze,
Więc na jej przyjście ja śpiewać muszę.

Witamy Ciebie wiosenko miła,
Gdzieżeś tak długo bawiła,
My cię czekali z pieśnią, z weselem,
Bądź nam kochanką, bądź przyjacielem!

J. Kapuściński.

PRZYSIĘGA MAJOWA.



Zagrały dzwony
Oto nadszedł dzień wiosny, dzień święta,
Z piersi zakutej pieśń wolna zadrżała —
Konstytucja!
Na szczycie trójbarwna chorągiew powiała:
Wolności... Braterstwa... Równości!
Zrównano stany! Słuchajcie:
Oto dzień wielkiej zbratanej ludzkości
Konstytucja!

Nastała chwila przejasnej miłości —
Żadrżała pieśń z Ducha poczęta.
Zagrały dzwony...
Oto idziemy w braterskim pochodzie
Równi i wolni... w Majowy dzień święta,
By u węgielnego kamienia praojców
Przysięgę złożyć —
My młode polskie orlęta...
Przysięgamy:

Że, stać będziemy na straży,
Stać będziem czujni w milczeniu
U ojców naszych ołtarzy —
Na stal swe serca shartujem,
Piorun mieć będziem w spojrzeniu,
Z woli, miecz ostry wukujem...
A władzcą Król-Duch nam będzie.
Oto dzień wolny!
A w glorji onej wolności

Strzedz będziem serc sumień i ducha,
Puklerzem bratniej miłości...
I nie rzucimy tej ziemi,
Ani nas wróg już nie zmoże —
I nie będziemy innemi!
Przysięglim. Duch ojców nas słucha...
A Ty dopomóż nam Boże!

Kachna Łęczynianka-Łza.



MACIEK BZDURA GADA:

Jak ni mam co robić, a mało kiedy się to trafi, to idę do prefesura na pogadankę i koniec. Nas prefesur, choć to człek hadukowany, co poznać po tem, ze nosi długie portki i ma na łańcusku uwiązany zygarek, coby mu nie ucikł, to przeciez nie jest harny i z kazdem bejdakiem pogada, a z dzieuchami to nawet wiecorem pofigluje. On ta nie patrzy, ze jest ucony i zadną się babą nie brzydzi i ma kuzdą w wielgiem usanowaniu oboma rękami. Powiada on, ze jak robota, to robota, a jak zabawa, to zabawa i ma juz w sobie taki talent, ze potrafi sam jeden wszystkich bejdaków we wsi wyucyć, co potrza, a wszyćkie dzieuchy rozweselić, jak potrza.

Casem ja idę do prefesura, casem on do mnie, ino jest ta różnica, ze jak ja przyjdę do niego, to ciągiem na niego patrzę, a jak on przyjdzie do mnie, to choć gwarzy ze mną, abo z gospodarzem, to ciągiem wraza ślipia to w Kaśkę, to w gospodynią i patrzy, jaką która ma śnich spodnicę na sobie.

Z gospodarzem to ino ciągiem bajdurzą o polityce, co moją gospodynie okrutecnie mierzi, bo powiadają, ze polityka to taka ciuciubabka, o której ani myśleć nie warto, gdyz w polityce patrzy ino jeden, jakby drugiego oświabić, a samemu nijak się nie dać podejść. Bez to prefesur ciągiem jem docina i śpasuje.

W tamtą niedzielę chciał dokucyć gospodyni i pyta się mnie:

— Maciek! a widziałeś ty kiedy taką niewiastę, coby odrazu była i ładna i dobra i mądra?

Ze ja się to, jako kawalir, na babach znam ino z wirzchu, tom ni mógł odrazu odpedzieć. Zacząłem myśleć, ale ani rus nie było co wymyśleć, bo nase dzieuchy wsiowskie, jak która ładna, to niedobra, a jak dobra, to niemądra, a jak mądra, to niełądna.

Padam tedy do prefesura otwarcie:

— Nie! takiej kobiety jesce Poniezus nie stworzył i chyba jej prędko nie stworzy. Bo jakby stworzył bez omyłkę kiedy taką, toby się o nią chłopaki pozabijali, a przecie Poniezus do takiego grzechu, dopuścić nie chce.

A moze być, ze ja ino takiej nie widział, ale ze one gdziesik są na świecie, więc pytam prefesura:

— No a cy pan widział kiedy taką?

— A juści! — pada prefesur — widziałem na... obrazku! Na obrazkach to malarze tak gębę wyrychtują, ze palce lizać! A kuzda dobra, bo na nikogo z gębą nie siędzie, a i mądra być musi, kiedy ją malarze malują!

Poznałem zaraz, ze prefesur ino na figle tak mówi, zeby gospodyni dokucyć. I naprawdę tak było, bo gospodyni zaraz na niego wsiedli z gębą, ze zaraz ucich i bez dwie godziny paje nie oździwiał.

Z przymówki rozśmiali się gospodarz i tak tedy padają:

— Zart zartem, ale to ino powinno być u wszyćkich ludzi jedyną oznaką babskiej wartości, cy ona mą dusę ładną i rozum wielgi. Bo co tam gęba, choćby dziś najśwarniejsa, to na starość spaskudnieje, a po śmierci chrobaki ją zjedzą. Znaliście przecie Margochę Franaskownę, co to miała gębę, jak dziedzicka jaka, a choć była ino wsiowską dzieuchą, to ją brać chcieli i policyjon z Mościsk i organista z Beckowoli i siandar z Przylasek i inne okolicne dygnitarze. A potem co się z niej zrobiło, jak pomarła? Kupka błota i więcej nic.

No niby tak! — myślę se, co gospodarz słuśnie powiadają, bo i z najpiękniejsej gęby, gdy skóra śniej zlizie, to pozostanie na niej ino trochę cielęciny, która za dzień lub dwa się zaśmierdzi i trzeba ją potem zakopać. Tak było, tak jest i tak będzie. Ale przecie choćby ta gęba była i najbrzydsa, to taksamo nic się śniej inksego nie zrobi i takze ją trza zakopać.

Ale gospodarz powiadają na to:

— No tak! tak! Nie ino to, co piękne, zgnije, bo i brzyćkie zgnić musi, ale pozostaje jesce dusa, która nigdy nie zgnije. I jak ona jest ładna na ziemi, to ładna pozostanie i w niebie, a jak brzyćka jest na ziemi, to i w niebie będzie brzyćka.

— Baj baju! — gospodyni na to — brzyćkie duse przecie nie idą do nieba!

— Chwała Bogu! — ucieszyli się gospodarz — bo jak nie idą, to i twojej tam nie będzie i choć po śmierci będę miał wytchnienie!

Zawse powiadałem, ze nas prefesur, to mądry człowiek, ale gdybym był nawet o tem nie wiedział, to teraz byłbym się przekonał. Kiedy bowiem usłysał takie powiedzenie gospodarzą, zerwał się zaraz z ławy i nim do trzech moznaby było dolicyć, juz go w izbie nie było. Posedem i ja za niem, a co się tam potem działo w izbie, to juz nie wiem. Słysałem tylko, jak się garcki tłukły po ścianie, jak maglownica latała w powietrzu i jak wszyćkie śtyry syby z okna wyleciały.

A na drugi dzień chodzili gospodarz cali opuchnięci i bez tydzień do nikogo słowa nie przemówili. Dopiero po tygodniu ozwali się do mnie:

— Wis, Maciek, u kuzdej baby to tam wszyćko jesce ulizie, ale pysk, to niech Poniezus uchowa!



Zbudzenie wiosny.

Z wiosennym blaskiem budzi się życie,
Z piersi wypływa pieśń nowa,
Nieznane dziewczę stoi w zachwycie,
Uwielbień sośnie śle słowa.

W niebios przestworzach coś lśni nad głową,
Rozkoszę przyrody czyta,
Chwaląc w pieśni swej jej wielkie słowa...
I o nic więcej nie pyta.

Gdy czarem swoim świat darzy ludzi,
Uśmiechem wiosna królewna,
Podmuchy wiatru serca obudzi,
Z ptasząt melodja śpiewna.

Szumią wesoło wody i lasy,
Śmieje się cała przyroda,
Czarem nadziemskiej wiosennej krasy,
Szczęściem oddycha pierś młoda.

Ptaszęta śpiewne przed wschodem słońca,
Śpiewają piosnki radosne —
Ach kochać, kochać, do życia końca,
I wiecznie w sercu mieć wiosnę.

Maryśka M.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Indje IV.

Nie tylko samo Benares, o którem pisaliśmy w poprzednim numerze „Roli", jest miastem świętem w Indjach. Jest nim także Madżura, znajdująca się w południowej części tej krainy. W Madżurze jest jedna z najwspanialszych świątyń drawidyjskich.



Madura. — Święty basen.

Wejście do świątyni tworzy olbrzymia, piramidalna brama. Wszystkie do góry idące płaszczyzny wypełnione są miejsce w miejsce tysiącami rzeźb kamiennych postaci bogów, ludzi i zwierząt oraz fantastycznych potworów. Cały chaos, cała orgja rzeźbiarskiej swawoli czy szaleństwa rozwija się przed zdumionem okiem podróżnika. Wygląda to tak, jakby jakiś popłoch padł na te wszystkie dziwne figury i że w strachu panicznym pouciekały na kamienną piramidę, tłumnie i w nieporządku, tratując sobie nawzajem po głowach. Podobno dziesiątki tysięcy kamieniarzy pracowało przez 30 lat, wykonując to dzieło, dziwne, dzikie i poplątane, ale godne olbrzymów.

Minąwszy bramę, przez długi, kolumnowy korytarz dochodzi się do basenu świątyni, tak zwanej złotej lilji. W wodach jego odbija się największa brama, po hindusku gopura, której dach złoty widoczny jest zdala. Święty basen i widoczne w głębi gopury przedstawia nasz obrazek. Ale na obrazku basen jest pusty; niema w nim kąpiących się. Kiedyindziej są tam tłumy kąpiących się, bo kąpiel ta oczyszcza z grzechów prawie równie dokładnie, jak święta kąpiel w Gangesie. Dla Europejczyków jednak wstęp do właściwej świątyni, jak również i do basenu wzbroniony. Natomiast mogą zwiedzać inne hale, gdzie mieszczą się nieocenionej wprost wartości skarby. Sądząc po nich, możnaby przypuszczać, że nędza jest tu nieznana. — A przecież jest inaczej.

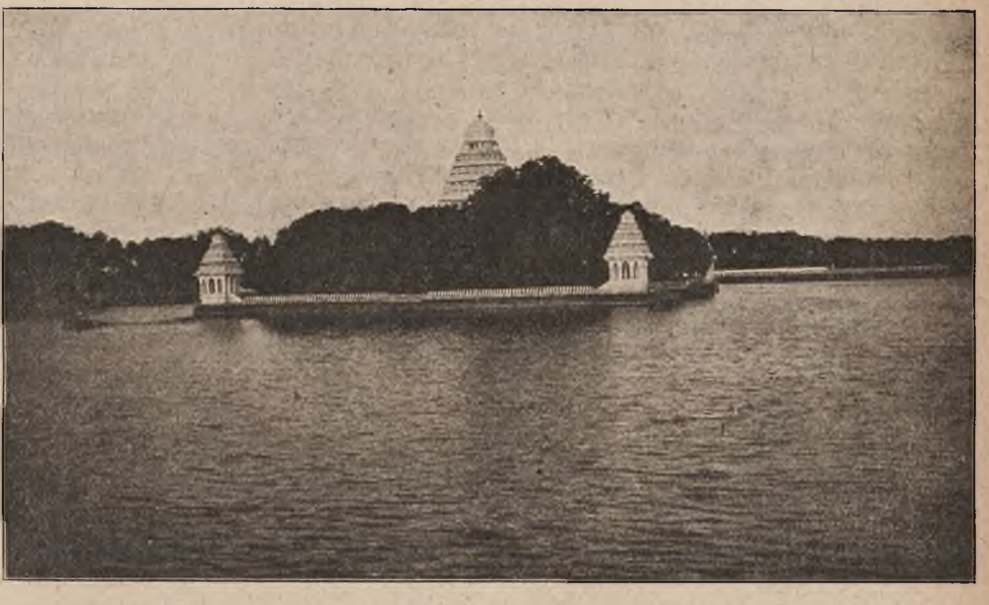
Świątynię otaczają całe masy żebraków. Żebrzą tu nietylko zawodowi żebracy, ale żebrzą również tamtejsi kapłani tak zwani bramini, a nawet słonie świątyni, doskonale do tego przyuczone. Słonie są tak wprawne, że odróżniają srebrną monetę od niklowej. Za pierwszą dziękują, zginając kolana, za drugą nie dziękują wcale, podając ją z lekceważeniem trąbą towarzyszącemu im braminowi.

Słonie te są nadzwyczaj natrętne, a jeszcze i dlatego nieznośne, że nieczyszczone, jak się zdaje, często, cuchną obrzydliwie. Nie pachnie zresztą tutaj nigdzie. Cała świątynia, w której tysiące pielgrzymów śpi, je i inne załatwia potrzeby, w której widzi się wszędzie najokropniejszą nędzę ludzką, straszne rany, wrzody i choroby, przepełniona jest zaduchem, którego czas dłuższy nie można wytrzymać.

Oprócz wielkiej świątyni, na której zwiedzenie szeregu godzin potrzeba, jest jeszcze daleko za miastem wśród wspaniałych palmowych lasów, na wyspach wśród licznych sztucznych jeziorek, cały szereg małych gopur i świątyń. Takie świątyńki widzimy na naszym drugim obrazku. Niektóre z nich tak malowniczo wyglądają z daleka, że korzystniej je z pewnej odległości oglądać, aniżeli ze zbyt bliska.

Brzegi całego jeziora są ustrojone grupami świątyń wśród gęstwi drzew bananowych. Jedna ma dach całkiem płaski, a na nim w ścisku okrutnym i pomieszaniu fantastycznem cały hinduski Olimp: tysiące postaci ludzkich i nadludzkich, wielkoramiennych i wielkonogich, zwierząt, gryfów i potworów, wszystko rzeźbione w drzewie, marmurze lub lepione poprostu z gliny. Wszystko to wota pobożnych. Każdy z odwiedzających świątynie Hindusów, przynosi nową rzeźbioną postać byka, najczęściej wieloramienną Durgę i ustawia na dachu. Miejsca wprost na dalsze wota brakuje; dawniejsze gliniane postacie leżą już dookoła, pozrzucane z góry i potrzaskane. Tu widzi się wśród zarośli kawałek glinianego tułowia, to głowę słonia, tam znów łeb rogaty świętego byka.

A naokoło lasy gęste, tysiące pni drzew banyanowych z ich korzeniami powietrznymi i pióropusze palm kokosowych z masą złoto-żółtych owoców. Cudna, tropikalna okolica, o jakiej tylko marzyć można nam Europejczykom. A dalej jaskrawo zielona równi-



Madura. — Mała świątynia.

na nawodnionych pól ryżowych, urozmaicona gajami palm oliwnych i kokosowych i palm Areca.

Gęste osady kryją się w zaroślach bananowych plantacyj. Kraj zaludniony o wiele gęściej, niż Belgja. Przekonuje o tem każda stacja kolejowa. Takich tłumów, takich tysięcy czarnych ludzi, rojących się na najmniejszej stacyjce, nigdzie nie widzi się w Indjach. Wysokie, silne, pysznie zbudowane postacie o czarnej zupełnie skórze, nagie zupełnie snują się wszędzie. Czysta to rasa pierwotnych mieszkańców Indyj, Drawidów. Krwi aryskiej niema tu ani śladu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

29. Nowy sługa.

Warren oddalił się wśród natłoku i zniknął z oczu swoich przyjaciół.

Chciał być sam ze swojemi myślami.

I kroczył tak w czarowną noc południową przy świetle księżyca przez przedmieście pełne will i przez urocze gaiki przedmiejskie.

— Musi udać się — szeptał, — niech tylko jeszcze zaglądnę parę razy do bogatego króla bawełnianego. Kiedy zaś mała zapali się do mnie, to będzie mi rzeczą łatwą pozyskać ją i temsamem ogromne bogactwo jej ojca. Do lichwiarza iść niepodobna, — jutro wszyscy będą o tem wiedzieli, mój nimb się rozwieje — zresztą te łajdaki poznaliby zaraz pofałszowane moje papiery, nie, to nie idzie.

— Brylanty sprzedać chyba — zblamuję się przed przyjaciółmi. To byłaby nieostrożność ogromna.

Szedł zamyślony dalej gaikiem.

W tem wysunęła się ciemna postać z poza krzaków, — schwyciła go groźna pięść, błysnął mu nóż przed oczyma.

— Pieniądze, albo...

Bandyta nie dokończył. Żelazną ręką pochwycił go Warren za gardło, wyrwał mu nóż z ręki i miał mu zadać cios śmiertelny.

Nieruchomo oczekiwał rabuś końca.

Naraz Warren powziął myśl jakąś.

Puścił rabusia z rąk.

— Odpowiadaj mi na pytania, ale prawdę, bo życie nie twoje!

Rabuś skinął głową.

— Jak się zowiesz? Skąd rodem? Czy należysz do jakiej bandy?

— Nazywam się Józef Harrera, jestem mesticą, (mieszańcem z białych i Indjan), pochodzę z Teksas i napadam na własną rękę.

— Tem lepiej; słuchaj. Jutro rano przyjdziesz do mojego hotelu, „City of London". Zapytasz o kapitana Warrena. Reszta znajdzie się. Mógłbym cię wprawdzie zabić, ale zamyślam co innego.

— Dzięki, tysiączne dzięki sennor.

— Cicho, nie trzeba mi podziękowania. Może nie przyjdziesz, no — to uważaj, ja cię znajdę, gdziekolwiek się skryjesz.

— Przyjdę, sennor, przyjdę.

— No, zobaczę. Masz tu 10 dolarów, kupisz sobie porządne ubranie, abyś wyglądał na mojego służącego. Rozumiesz?

— Tak jest.

Wziął ze zdumieniem 10 dolarów.

— Uważaj, ja ciebie nie skrzywdzę, — rzekł Warren i odszedł...

Rabuś patrzał za nim długo, długo.

— — — — — — — — — — — — — — —

Kapitan siedział przy kawie, kiedy kelner oznajmił mu przybycie mesticy.

Wpuścił go do pokoju. Warren zaryglował za nim drzwi.

Józef Harrera miał na sobie lniane ubranie, szeroki kapelusz słomiany zakrywał jego oblicze, które nosiło wyraz przebiegłości i zapamiętałości.

— Siadaj i słuchaj chłopcze. Tej nocy byłbyś się pożegnał ze swojem brunatnem istnieniem.

Józef milczał.

— Masz ochotę zarobić dużo pieniędzy?

Oczy mieszańca zabłysły.

— Więc słuchaj uważnie.

Warren rozwinął przed uważnym słuchaczem swój plan, a ten potakiwał z upodobaniem.

Wieczorem, zebrał się w klubie znakomity światek, Warren był także.

„Czterolistna koniczynka" była w salonie gry — nieopodal stał Doublay.

Mac Donnel i Levis siedzieli przy rulecie, Warren i Beauregard stali za ich plecyma.

— „Rouge" — rzekł Mac Donnel — kula frunęła; otrzymał swoją stawkę w trójnasób.

Beauregard rozśmiał się.

— Czekaj pan, — zawołał, — ja panu pokażę, jak się stawia, — wziął parę złotówek z kupki Szkota i postawił na numerowany kwadrat tabliczki z liczbami.

— Kto naprzeciw?

Z różnych stron zgłosiły się stawki, ruleta obróciła się, Mac Donnel przegrał.

— Widzisz pan, — zwrócił się do Hredczyka.

Ten zaśmiał się.

Stawił na nowo — i znowu przegrał Mac Donnel.

— Teraz przestaję tak stawiać, — rzekł zniechęcony.

— Jeszcze raz tylko, — prosił Beauregard, wyciągnął studolarówkę i położył ją na kupę złotówek.

Ogólne naprężenie — obrót — Mac Donnel wygrał.

Z różnych stron sunięto doń złoto i papiery.

— Widzisz pan, tak się gra. Trzymaj się pan tylko kwadratu, on wraca ciągle, — zakończył Beauregard.

Za godzinę wygrał młody Szkot 16.000 dolarów.

— To znaczy szczęście, — rzekł zadowolony.

— A pan kapitan nie gra? — zapytał Beauregard.

— Dziś feralny dzień — nie gram.

— Pan zabobonny?

— Jako gracz, — muszę być nim.

Była późna godzina.

Przyjaciele rozchodzili się.

— Idziesz pan sam, Mac Donnel? — zapytał Levis.

— Tak jest, idę w inną stronę, głowa mię boli, użyję powietrza i przechadzki.

Warren postąpił ku niemu.

— Panie Mac Donnel, pańska cygaretnica! Zapomniałem.

— No szkoda było fatygi. Dobranoc!

Rozeszli się.

Młody Szkot nie spostrzegł, jak czarna jakaś postać poskoczyła za nim.

— — — — — — — — — — — — — — —

Warren przybył do hotelu.
W sieni zapytał portjera, czy sługa jest na górze.
— Nie widziałem go dziś jeszcze.
Warren wszedł do pokoju, zaglądnął do bocznej komnaty — nie było go.
— Hm — może mu się co zdarzyło. Usłyszał kroki w kurytarzu.
Wszedł Józef. Sięgnął do kieszeni i jął wyciągać złoto i papiery bankowe.
Kładł je przed Warrena.
Kapitan obliczył sumę, było 18.000 dolarów.
— No poszło wszystko dobrze? Widział twoją twarz?
Sługa wyciągnął z kieszeni maskę.
— Ładnie. Jak widzę, rozumiesz się na rzeczy. Na masz! — posunął mu 3.000 dolarów.
— Twoja cząstka! Niebawem będzie więcej do roboty.
Mestica uśmiechnął się zadowolony.
— Teraz idź spać.
Warren zaś siedział długo, ważąc swoje plany.

30. Dwoje szczęśliwych.

A w Nowym Orleanie, w okazałej willi Saint-Artaya sprawiano zabawę za zabawą.
Warren bywał tm bardzo często i użył wszystkich swoich przebiegłych sposobów, aby rozkochać w sobie Luizę, jedynaczkę miljonera.
Niebawem odbyły się zaręczyny.
Całymi tygodniami rozmawiano tylko o tych dwojgu.
Za kilka dni już miał się odbyć ślub.
Pewnego wieczora był Warren jedynym gościem w willi.
— Musimy raz bodaj przebyć tylko w rodzinnem kole, — rzekł, śmiejąc się stary miljoner. I Luiza była szczęśliwa, że raz narzeczonego będzie miała tylko dla siebie. Obawiała się bowiem, aby piękna jej kuzynka pani Beaucamps, młoda wdówka, nie zabrała jej serca narzeczonego.
Pani Beaucamps, była bowiem bardzo wesoła, a widocznie upodobała sobie kapitana, bo ciągle przebywała tylko w jego towarzystwie. Nawet pożyczyła mu 500.000 dolarów, z którą to kwotą sama się wmówiła.
Dziś była pani Beaucamps cokolwiek słaba, została w domu.
Szczęśliwi narzeczeni, spędzili ten dzień rozkosznie, ciągle tylko mówiąc o bliskiem połączeniu.
Tymczasem biedny Doublay znosił piekielne męczarnie.
Jego ubóstwiana Luiza w ramionach człowieka, którego instynktownie nienawidził. — Nie miał ani chwili spokoju.
Otrzymał zaproszenie na wesele, jednak odmówił przybycia, wymawiając się naglącą sprawą podróży.
Może wróci, kiedy się uspokoi.
Dwa dni przed ślubem Luizy, w poniedziałek, wsiadł Doublay na parowiec, zmierzający na północ.
Smutno patrzył Kreolczyk na rozlewające się dokoła piękności okolicy.
Pod wieczór przybył do Vicksburgu. Gibraltar południowych stanów wznosił się bardzo stromo, wały jego panowały nad biegiem rzeki.
Udał się na spoczynek, bo był znużony podróżą.
Na drugi dzień rano siedział przygnębiony na werandzie hotelu. Oczy jego śledziły w zamyśleniu za biegiem fal...
Nie mógł tak siedzieć długo.
Kazał spakować i jechać na kolej.
WAtlanta, przebywają jego wierni przyjaciele, którzy go nieraz zapraszali do siebie.
Pojedzie do nich!
Na stacji Jackson musiał czekać pół godziny na drugi pociąg. Pomału przechadzał się po peronie, potem wszedł do poczekalni, zamówił przekąskę.
Naraz wszedł jakiś człek w lnianej bluzie, niosąc paczkę papieru przez ramię.
— Czego tu chcecie? — zawołał doń kelner.
— Przylepić obwieszczenie.
Kelner wskazał mu ręką na tablicę drewnianą, służącą w tym celu.
Przylepiacz afiszy położył swój ciężar na krześle i jął z wielką zręcznością przylepiać obwieszczenie.
Okrzyki zdziwienia, dały się słyszeć z różnych stron.
— Oho! Morderca — bigamja — Gould.
Doublay wstał — imię Gould? — cóż to miało znaczyć?...
Pasażerowie stali już koło obwieszczenia i czytali z zaciekawieniem. Mechanicznie stanął Doublay w ich rzędzie, rzucił okiem na plakat i na obraz, który na nim widniał. Doublay struchlał! Jakby elektrycznym prądem tknięty!
Mógłże oczom swym wierzyć? Toż to były przecie rysy twarzy Warrena — to samo zagadkowe męskie, piękne oblicze — te same wielkie promienne oczy — to on tak, jakby żył!
Pociemniało mu w oczach i ledwie zdołał przeczytać obwieszczenie, w którem dokładnie zgadzał się rysopis Goulda — z Warrenem. Opanowała go myśl, aby natychmiast wrócić do Nowego Orleanu, ratować Luizę. Wyciągnął zegarek, było pół do dziewiątej. — Rzucił się za biletem. Podróżni patrzyli nań ze zdziwieniem.
— Kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Nowego Orleanu?
— Jutro przed południem o pół do dziesiątej.
— Dziś już nie?
— Nie, tą linją rzadko kto jedzie.
— A do Vicksburga?
— O godzinie 11 w nocy.
Doublay zaczął obliczać. Jeszcze gorzej! Dopiero rano mógł być w Vicksburgu, potem parostatkiem. W najlepszym razie mógł wieczorem dopiero przybyć do Nowego Orleanu.
Pojedzie jutro przed południem, to przybędzie co najwyżej godzinę prędzej, a na 10 rano naznaczono ślub. Bezpośrednio po ślubie chciał Warren z młodą małżonką odjechać. To rozpacz!
Jak szalony latał. Nie mógł nic dobrego przedsięwziąć, a czas mijał.
Naraz — udał się wozem do miasteczka, które leżało niedaleko.
Padło mu na myśl, że choćby nawet przybył w sam czas do Nowego Orleanu, nie będzie mógł zbrodniarzowi przeszkodzić. Nim list gończy rozszerzy się po Nowym Orleanie, może minąć parę dni. Jedyna nadzieja w pomocy policji.
Ale i w takim razie był zapóźny ratunek!
Jęknął, gdzież ratunek?
Wpadł do domu policyjnego. W sieni napotkał policjanta.
— Przychodzę — rzekł — w bardzo ważnej sprawie, czy jest kto z pańskich przełożonych?
— U nas jest tylko sierżant. Starszyzna w Vicksburgu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czy w Polsce jest źle?

Twierdzenie, jakoby chłopa po kolejach i starostwach traktowano ordynarnie, nie jest ścisłe. Nie przeczę, że tu i ówdzie zdarzają się takie wypadki, ale to do wyjątków należy, a jeżeli się zdarza, to winien w takim wypadku sam poszkodowany. Chłop, jako pan i władca tej ziemi, jako żywiciel całego narodu, powinien przedewszystkiem sam znać swą wartość. A niestety, iluż w tym kierunku grzeszy śmiertelnie?! Ileż to razy zdarza się, że ten i ów wieśniak przychodzi do urzędu i kłania się pokornie i pokornie czeka na załatwienie swej sprawy. Ileż to nieraz zgięć się widzimy przed osobą byle jakiego urzędnika! Chłop nie powinien się sam poniżać, to i jego nie będą poniżali. Trzeba umieć zachować swą godność osobistą. Nie znaczy to, aby zadzierać głowę do góry i wynosić się ponad innych! Nie! ale będąc grzecznym i uprzejmym dla innych, trzeba tej grzeczności i uprzejmości od innych wymagać. Prawdziwie mądry człowiek nie będzie dla nikogo gburem i ordynusem.

Było pod tym względem niejednokrotnie źle, ale jest coraz lepiej, a będzie zupełnie dobrze, gdy oświata da poczucie każdemu jego osobistej godności.

Twierdzenie, że nawet po najmniejszych wioskach buduje się obecnie szkoły, gdyby było prawdziwe, nie byłoby zarzutem dla rządu, ale pochwałą dlań. Wszak oświata jest niezbędna dla człowieka i każdy ją posiadać powinien. A któż mu ją da, jeżeli nie szkoła? Szkoły powinny być w każdej wiosce, choćby najmniejszej. Niestety, jeszcze daleko nam do tego, choć pod tym względem poczyniliśmy postępy olbrzymie. Że tam dawniej gdzieś w Zembrzycach czy innej miejscowości trzech nauczycieli uczyło 300 do 400 dzieci, to jeszcze nie powód, aby i teraz tak było. Aby nauka była naprawdę korzystną dla dziatwy, aby nauczyciel, czy nauczycielka, po kilku latach nie zapadła na gruźlicę, to w jednej klasie nie powinno być więcej ponad czterdzieści dzieci. Inaczej szkoła staje się nie przybytkiem nauki, ale mordownią dla dzieci i nauczycieli. Jeżeli więc teraz na 400 dzieci jest 5 czy 6 nauczycieli, to jest ich stanowczo za mało, gdyż powinno być najmniej 10. Wielu pracę nauczycielską lekceważy i nie docenia jej, może nawet w dobrej wierze, bo jej nie zna. A jest ona najcięższą z wszystkich prac i najodpowiedzialniejszą. Rolnik, rzemieślnik, robotnik pracują tylko fizycznie i z pod rąk ich wychodzą mniej lub więcej udatne przedmioty, które pobędą czas jakiś i trzeba je będzie nowemi zastąpić. Nauczyciel wlewa w swą pracę całą swoją duszę. On rzeźbi z surowego materjału charaktery i dusze ludzkie. On pracuje całem swojem jestestwem. A jeżeli nawet idzie na przechadzkę, to myśl jego dalej jest zajęta tą pracą, a gdyby nawet wypoczęła na chwilę w czasie godziwej rozrywki, toć słusznie mu się to należy, aby nabrał nowych sił do dalszych trudów. A i tu jest różnica w pracy nauczyciela, a w nocy innych zawodów. Jeżeli szewc zrobi dobrze buta, to wie, że ten but będzie dobry; jeżeli rolnik uprawi dobrze ziemię, to wie, że jeżeli nie przyjdzie jakaś nadspodziewana klęska, że ta ziemia wyda mu plon obfity. Nauczyciel zaś sieje dobre ziarna, ale nigdy zgadnąć nie może, czy jakiś szatan pracy jego nie unicestwi. On sieje, ale drży zarazem, czy siew jego nie pójdzie na marne.

Dużoby jeszcze można na ten temat powiedzieć, ale zdaje nam się, że to wystarczy.

Wreszcie punkt ostatni, że jedni mienie i życie kładą dla Ojczyzny, a drudzy tuczą się cudzą pracą i mozolnym groszem narodu. Tak! to prawda! Ale na miły Bóg, czyż to tylko u nas tak jest? Wszakci w całym świecie jedni opływają w dostatki, a drugich bieda przygniata i głód niejednokrotnie znoszą. I jeżeli chcemy być ścisłymi, to u nas dzieje się to w mniejszym stopniu. Weźmy np. taką Amerykę, iluż tam miljonerów i miljarderów, a ile obok nich nędzy i niedostatku. — A czy o wiele inaczej jest w Anglji, Francji, Niemczech lub innych krajach? Wszędzie, gdzie jest zbytek, i nędza być musi! A nawet w Rosji, którą bolszewicy nazywają republiką rad robotniczych, nie inaczej się dzieje, ale owszem jeszcze gorzej. Stokroć gorzej, bo tam wszelkie szumowiny w dostatki opływają, a ogół cierpi nieznaną gdzieindziej nędzę.

Że byłoby lepiej, gdyby biedy nie było na świecie, to całkiem rzecz naturalna, ale wówczas społeczeństwo musiałoby się składać nie z ludzi, ale z aniołów. I tej nierówności społecznej nikt nie zapobiegnie, choćby był niewiadomo jak mocarny, i choćby posiadał umysł najgenjalniejszy. Nierówności tych wygładzić zupełnie nie można, ale można je znacznie pomniejszyć i to powinno być naszem dążeniem. — A stanie się to, jeżeli w Ojczyźnie naszej zapanuje oświata, jeżeli z niej znikną waśni społeczne, a wszyscy zabierzemy się do uczciwej i sumiennej pracy.

Widzimy z tego, cośmy powyżej powiedzieli, że w Polsce nie tak źle, jakby się to na pozór wydawało, bo pod wielu względami w innych krajach nie lepiej, ale sto razy gorzej. Ale myśmy się nauczyli na to wszystko, co nasze narzekać, a cudze pod niebiosy wynosić. *Antoni St. Bassara.*

Kochająca żona.

(Bajka.)

Razu jednego wilk ścigał djabła, chcąc go pożreć. Zobaczył to przypadkiem wieśniak, a pomyślawszy sobie, że to rogate licho może mu być kiedyś użytecznem, poczuł ku niemu litość i odstraszył wilka wołając głośno:

— A tuś, a tuś!

Djabeł uradowany, że uwolnił się od wilka, podziękował chłopu i zaprosił go na następny dzień do leśnej gęstwiny, gdzie miał sam także przyjść, aby mu się odwdzięczyć. Lecz żądał, by wieśniak nie przyszedł sam, ale by przyprowadził z sobą najbardziej kochającą go istotę. Chłop miał żonę, dość urodziwą, ale bardzo próżną i lekkomyślną, którą miał jednak za wierną i uczciwą. Sądząc więc, że ona jest istotą, która go najwięcej ze wszystkich na świecie miłuje, wziął ją z sobą, idąc w odwiedziny do djabła. Gdy przyszli na wskazane miejsce, nie zastali go jeszcze. Nudząc się, chłop oparł głowę na ramieniu żony i zasnął.

Po chwili, djabeł przeobraziwszy się w pięknego młodzieńca, przybliżył się do kobiety, zaczął się do niej umizgiwać, mrugając oczyma i tak prędko opanował jej duszę, że ta, chętnie chwyciła nóż z rąk jego, by nim poderżnąć gardło swemu mężowi.

Lecz w tejże chwili, djabeł przybierając napowrót zwykłą swą czarną z kopytami postać zawołał głośno:

— A tuś, a tuś!

Wieśniak obudził się właśnie dość wcześnie, aby uniknąć niebezpieczeństwa.

Djabeł rzekł mu:

— Chciałem ci się odwdzięczyć za to, żeś mię od wilka wyratował — i ja uratowałem cię od obłudy twojej niewiasty. Widzisz teraz, jak jest fałszywą i niewierną. Lepszym od niej jest ten przyjaciel — wskazał na psa, który mimo wiedzy chłopa, przybiegł tu z nim z domu i łasił się teraz pokornie a szczerze do swego pana.



Poradnik gospodarczy.

Przypomnienia na maj.

Wprawdzie wiosna tegoroczna mocno spóźniona, wskutek czego wiele robót zbiegnie się równocześnie ze sobą tak, że rolnik nie będzie sobie mógł dać rady ze wszystkiem. Mimo to, o ile sił starczy trzeba pracować, trzeba o wszystkiem myśleć, niczego nie zaniedbać, aby gdy jesień nadejdzie ze spokojem patrzeć w przyszłość.

Przypatrzmy się więc, jaka praca czeka nas w maju? Pomijamy tu prace w polu, gdyż te są wszystkim znane i tych nikt nie zaniedba, bo od tego przyszłość zależy. Zwrócimy tylko uwagę na roboty w sadach i ogrodach.

Maj jest miesiącem kwitnienia drzew owocowych. Przeważnie bywa ciepły lub przynajmniej łagodny, ale przecież zdarza się często, że i w tym miesiącu nocami bywają przymrozki, które niszczą zupełnie kwiaty drzew owocowych. A można temu zaradzić nawet przy 4 stopniach mrozu. W tym celu układamy co 10 do 20 metrów kupki chrustu i zapalamy je przed wschodem słońca w noc mroźną a wypogodzoną. Gdy chrust się rozpali, przysypujemy go nieco ziemią, by ogniska wydawały dużo dymu, gdyż ten chroni kwiaty od zamarznięcia. Jeżeli przymrozki powtarzają się, czynimy to w ten sposób w każdą noc mroźną.

Plagą drzew owocowych i innych w maju są chrabąszcze majowe. Przeważnie nasi gospodarze nie zwracają na nie uwagi, ale gdyby obliczyliśmy szkody, jakie one w przeciągu kilkunastu dni wyrządzają nam, dopiero widzielibyśmy co to za ogromny szkodnik. Nie trzeba ich więc lekceważyć, ale tępić bez miłosierdzia. Zapobiegniemy nietylko szkodom przez nie wyrządzanym, ale będziemy mieli nawet z nich pożytek. Chrabąszcze są bowiem doskonałą karmą dla drobiu, a strzęsione, zalane wrzącą wodą i wyrzucone na nawóz, dają później roślinom doskonałe pożywienie. Nie trzeba ich jednak pozostawiać nienakrytych, gdyż zanieczyszczałyby powietrze, lecz trzeba ziemią przysypać.

Dalszym szkodnikiem dla drzew są gąsienice. Trzeba je tępić, rozgniatając kijem, owiniętym szmatą, umoczoną w słabym roztworze ługu, lub choćby w zwilżonym popiele. Gdy gąsienice już rozeszły się po drzewie i żerują na niem, należy drzewa opryskiwać zielenią paryską. Ażeby zapobiedz obsiadaniu na drzewach czarnego grzybka, trzeba całe korony zaraz po przekwitnieniu drzew zraszać 1% cieczą bordowską.

W maju przystępujemy do plewienia pietruszki, marchwi, buraków, cebuli, szpinaku i rzodkiewki. Chwasty usuwamy najlepiej ręką, a ziemię spulchniamy lekką motyczką. W tym samym mniej więcej czasie wysadzamy flance cebulki, sałaty i wczesnej kapusty. Kapustę sadzić należy co 60 cm., gdyż gęściejsze sadzenie źle wpływa na wydajność plonu. Robimy kołkiem otwór w ziemi, wkładamy rozsadę, następnie kołkiem przyciskamy ziemię z boku, aby dobrze przylgnęła do korzeni. Trzeba uważać, aby tak zwane serce czyli środek roślinki nie był przysypany ziemią.

Rozsadę cebuli wysadzamy na świeżo odwróconej, zagrzebanej i uklepanej ziemi w 5 linij na zagonie co 15 cm. na linji. Rozsadę przed wysadzeniem skracamy tj. obrywamy szczypór i korzonki, zostawiając nie dłuższe, jak 8 cm. Korzonki cebuli, o ile nie są skrócone, zawijają się przy sadzeniu i w ten sposób posadzona cebula nie przyjmie się zupełnie.

Rozsadą sałaty obsadzamy bruzdy, lub wysadzamy ją na zagonie, przeznaczonym na ogórki.

Na fasolę robimy 4 linje na zagonie, a na linji co 40 cm. rzucamy po 3 ziarnka, na ogórki robimy jedną linję pośrodku zagona. Ogórki są bardzo wdzięczne za dodatek ziemi kompostowej, robimy więc głębszy rowek, zasypujemy go ziemią kompostową, którą uklepujemy, aby nie była zbyt pulchna i co 30 cm. rzucamy po kilka ziarnek. Gdy roślinki powschodzą, zostawiamy w każdem miejscu po dwie najsilniejsze, resztę usuwamy.

W drugiej połowie maja wysadzamy późną kapustę, kalarepę, selery, pory i pomidory. Rozsadnik na parę godzin przed wybraniem rozsady musi być obficie zlany wodą.

Kalafjory i kapustę sadzimy w odległości 60 cm., kalarepę trochę gęściej.

Pomidory należy sadzić w odległości 1 metra. Robimy szpadlem dołek, zaprawiamy go ziemią kompostową i sadzimy flance, obciskając dobrze ziemią. O ile wysadzenie odbywa się w czasie suchym, trzeba wszystkie świeżo wysadzone rośliny dobrze podlać. Podlewając, trzeba zważać, aby strumień wody nie padał zbyt z wysoka, gdyż opłucze korzonki z przylegającej ziemi.

Maj jest ostatnim miesiącem lęgów zarodowych; kury ras lekkich, wylężone w maju, są jeszcze zdatne do chowu zarodowego.

Kaczki majowe rosną doskonale. Indyczęta wymagają w maju bardzo starannej opieki, gdyż są wtedy bardzo skłonne do chorób.

Poradnik kucharski.

Zrazy zawijane polskie. Mięsa z zrazówki lub krzyżówki pokrajać na duże, lecz jaknajcieńsze plastry, zbić, osolić i zostawić tak z kwadrans. Wziąć dużą łyżkę masła, włożyć upieczonej i tartej cebuli, wsypać tartego chleba, pieprzu, wymieszać doskonale, nadziewać tem zrazy, zawijać mocno, aby się nie rozkręcały. Włożyć w rondel kawałek masła; na roztopione masło wrzucić zrazy, dodać cebuli pieczonej, przykryć, niech się duszą na wolnym ogniu. Jak się zarumienią wlać rosołu, zasypać sos chlebem, a jeżeliby jeszcze się wysadził, to podlać znowu rosołem.

KRONIKA.

Wymordowanie rodziny karczmarza. W ubiegłym tygodniu we wsi Kończyce koło Niska znajdująca się tam karczma, stała się miejscem ohydnej zbrodni. Karczmarza Abrahama Ingberga w okolicy posądzano, że ma on wielką gotówkę w dolarach i uważano go za bardzo bogatego. To właśnie spowodowało, że złodzieje postanowili Ingberga obrabować. Do rabunku wybrali noc z piątku na sobotę. Gdy Ingbergowie po szabasie ułożyli się do snu, trzej bandyci, uzbrojeni w rewolwery i siekiery, wtargnęli przez okno do wnętrza domu. Obudziwszy Ingbergów, zażądali wydania wszystkich pieniędzy. Ingberg żądaniu ich nie mógł zadość uczynić, gdyż właśnie krytycznej nocy u siebie nie miał żadnej gotówki. Wobec tego jeden z bandytów sznurem związał ręce Ingbergowi i trzymał go na miejscu pod groźbą użycia rewolweru. Tymczasem dwaj inni bandyci oddali strzały do jego żony i córki, poczem dla upewnienia się, że nie żyją, siekierami rozbili kobietom głowy. Po tym czynie poczęli rabusie plądrować mieszkanie, w czasie czego zabrali z szuflady małą kwotę i trochę tytoniu. Uchodząc z miejsca rabunku, oddali do Ingberga dwa strzały i zbiegli w niewiadomym kierunku. Ciężko ranny Ingberg, związany sznurem, przeleżał przez noc na podłodze, gdzie go znaleziono wczesnym rankiem. On to opowiedział cały przebieg napadu, a następnie w godzinę później zakończył życie. Śledztwo w tej sprawie prowadzi powiatowa komenda policji państwowej w Nisku.

Mąż w uprzęży. W Lubelskiem stał się wypadek, niepozbawiony zgryźliwej wesołości: W pewnej wiosce chłop, wioząc drzewo z lasu, został ukarany przez policjanta za to, iż zaprzężony koń nie był okiełzany. W niedalekiej odległości za pierwszą furą wiózł na niedużym wózku również drzewo jakiś wyrobnik, który z braku konia, sam zaprzągł się do wózka. Rolę woźnicy pełniła żona wyrobnika, która równocześnie pchała wózek z tyłu. Ta, widząc, co poprzedniego woźnicę spotkało, czemprędzej podbiegła do ciągnącego męża i włożyła mu pętlę (wędzidło) w zęby, aby uniknąć kary, jaką za nieokiełznanie zapłacić musiał poprzednik... Trzeba sobie wyobrazić zadowolenie posterunkowego, który naocznie przekonał się, jak ludność stosuje się do rozporządzeń władzy, której on był widomym przedstawicielem i wykonawcą. Historyjka ta rozeszła się szybko po okolicy, budząc wszędzie bardzo liczne i wesołe uwagi.

Samobójstwo dwóch przyjaciółek. W niezwykłych okolicznościach popełniły w Warszawie samobójstwo Helena Małodobra i jej przyjaciółka Anna Skwarczyńska, młoda mężatka. Małodobra pracowała od roku jako służąca u Maurycego Bursztyna przy ul. Koszykowej. Serdeczną jej przyjaciółką była 20 letnia Anna Skwarczyńska, która wyszła za mąż zaledwie przed 5 miesiącami. Obie kobiety widywały się bardzo często, a ostatnio niemal codziennie, gdyż Małodobra miała dużo wolnego czasu z powodu wyjazdu p. Bursztynowej. Onegdaj około godz. 11 przed południem Skwarczyńska wyszła z domu, mówiąc do męża, że idzie do Heleny wykąpać się. Minęło południe, nadszedł wieczór, a Skwarczyńska nie wracała. Zaniepokojony jej nieobecnością mąż udał się na ul. Koszykową. Tam dowiedział się strasznej prawdy — żona jego popełniła samobójstwo. Odkrył je właściciel mieszkania Bursztyn, który wrócił do domu popołudniu, a zastawszy drzwi zamknięte od wewnątrz, przy pomocy ślusarza dostał się do mieszkania. Przeszukując je, zajrzał do łazienki i stanął w progu jak skamieniały. W pustej wannie leżały nieruchomo dwa nagie ciała kobiece. Z niedokręconego kranu ściekała kroplami woda. Otwór odpływowy w dnie wanny był otwarty. Na spodzie wanny leżała bez życia Skwarczyńska, w drugim końcu siedziała skulona Małodobra, dająca słabe oznaki życia. Z ust jej spływała czerwona piana. Lekarz stwierdził zgon Skwarczyńskiej wskutek otrucia jakimś płynem, prawdopodobnie sublimatem. Małodobrą w stanie beznadziejnym przewieziono do szpitala. Przyczyny tego niezwykłego dramatu narazie nieznane.

Skarb w obrazie. Anna Zduńkówna, ze wsi Wilowa pod Lidzbarkiem, chcąc uzyskać do pantofelków, które sobie szyła, podeszwy, rozebrała obraz, nadesłany jej rodzicom przez krewnych jeszcze 45 lat temu, aby wydobyć zeń tekturę. Nagle przy rozbieraniu z za tektury wypadł banknot 100 dolarowy, zupełnie dobrze zachowany.

Zabójcze szczepienie. W okolicach Kalisza zjawił się w zeszłym tygodniu jakiś tajemniczy osobnik, który podawał się za lekarza weterynarji i zgłaszając się do sołtysów, przedstawiał się za delegata starostwa, mającego polecenie dokonania ochronnych szczepień trzody chlewnej. Gospodarze wsi Białej, Walichnowy i Łyskornia, widząc rzekomego weterynarza w towarzystwie władzy w osobie sołtysa, nie sprzeciwili się szczepieniu trzody, płacąc po 50 groszy od sztuki. Po paru dniach trzoda zaszczepiona zaczęła masowo zdychać i w trzech tylko wymienionych wioskach na 102 sztuki szczepione blisko 100 zdechło. Zawiadomiony o tem powiatowy lekarz weterynarji p Kiełkiewicz, po zbadaniu sztuk padłych, stwierdził, że trzoda była szczepiona trucizną różycy. Są pewne poszlaki, że karygodnego nadużycia dopuścił się nie zwykły oszust, lecz specjalnie nasłany agent, celem wywołania — z powodu tych masowych padnięć — pogłoski o zarazie wśród trzody w Polsce i w ten sposób utrudnienia na czas dłuższy eksportu trzody z Polski do krajów sąsiednich.

Niezwykłe samobójstwo. Niezwykłe, jak na kobietę, samobójstwo popełniła 23 letnia Józefa Kwiatkowska, zamieszkała w Borucinie w powiecie kaliskim. Korzystając z nieobecności domowników, Kwiatkowska chwyciła strzelbę i przytknąwszy lufę do ust, pociągnęła za cyngiel. Huknął strzał i nieszczęśliwa dziewczyna padła trupem na miejscu. Powodem samobójstwa był zawód miłosny.

Zapomniał, że jest żonaty. Robotnik Jerzy Zimmerman, pochodzący z Inowrocławia (w Poznańskiem) ożenił się jeszcze przed wojną. W czasie wojny otrzymywał on kilkakrotny urlop i zajeżdżał do Inowrocławia do swej żony, z którą miał czworo dzieci. Po wojnie nie wrócił jednak już więcej do domu, lecz zamieszkał w Berlinie, gdzie w roku 1920 zawarł małżeństwo po raz drugi, jako rzekomy kawaler. Tymczasem pierwsza żona Zimmermanna, opłakawszy rzekomo poległego małżonka, przeniosła się do Niemiec i wniosła podanie o rentę jako wdowa po żołnierzu. Podanie to doprowadziło do wyszukania Zimmermanna i stwierdzenia jego dwużeństwa. Zimmermanna stawiono przed sąd. Wobec władz tłumaczył się oskarżony zupełnym zanikiem pamięci. Zapomina on o wszystkiem, o najważniejszych nawet sprawach. Zapomniał również o tem, że był żonaty. Rzeczoznawca lekarski oświadczył, że nie wierzy w tak wielką niepamięć, ale uważa, że Zimmerman nie jest zdolny do samodzielnego postępowania i potrzebuje na każdym kroku pomocy czy to żony, czy kogo innego, w przeciwnym bowiem razie traci pamięć nawet o tem, gdzie mieszka. Zimmerman zeznał, że z drugiego małżeństwa ma już sześcioro dzieci. Nie może sobie w żaden sposób przypomnieć, by miał kiedykolwiek inną żo-

nę niż tę, z którą żył od roku 1920. Sąd, opierając się na wywodach lekarza, uznał za możliwe, iż Zimmerman istotnie zapomniał o swem pierwszem małżeństwie. Wobec tego nieszczęśliwy zapominalski został zwolniony od winy i kary. Koszta sądowe pokryje skarb państwa.

Osobliwe samobójstwo. Osobliwego samobójstwa dokonała para kochanków w Brunszwigu. Tamtejszy konduktor tramwajowy, który od wielu lat był żonaty i żył bardzo nieszczęśliwie z żoną, poznał niedawno pewną młodą dziewczynę, z którą nawiązał stosunek miłosny. Wiadomość o tym romansie doszła niebawem do uszu żony niewiernego. Z tego powodu rozpoczęły się pomiędzy małżonkami gwałtowne sceny. Żona nie chciała zgodzić się na rozwód, wiedząc, iż mąż pragnie poślubić jej rywalkę. Gdy para kochanków uświadomiła sobie, że nieprzezwyciężone trudności piętrzą się na drodze do ich szczęścia, postanowiła rozstać się z tym padołem płaczu. Kochankowie zeszli się poraz ostatni na schadzkę, aby omówić cały plan samobójczy. Napisali listy pożegnalne, w których tłumaczyli pobudki swego tragicznego czynu. Następnie udali się na tor kolejowy na przedmieściu Brunszwigu, tam związali się sznurem i ułożyli się na szynach. W obawie, aby prowadzący lokomotywę nie spostrzegł ich i w ostatniej chwili nie zahamował pociągu, kochankowie przykryli się szarym płaszczem. W pół godziny później nadjechał pociąg pospieszny, który zmiażdżył parę samobójców. Zwłoki ich w okropnym stanie znalezione zostały w godzinę później po przejeździe pociągu.

Wypadek samochodowy. Obecny kierownik poselstwa polskiego w Budapeszcie Łazarski, uległ w ubiegłym tygodniu ciężkiemu wypadkowi samochodowemu. W drodze powrotnej z wycieczki w okolice Budapesztu, skutkiem złamania się kierownicy, auto stoczyło się do głębokiego na 8 metrów rowu, przewróciwszy się dwukrotnie. P. Łazarskiemu towarzyszyli hr. Marja Samoscoi, żona adwokata Łatzko i sekretarz ministerjalny Kamil Szarossy-Kapeller. Wszyscy jadący w samochodzie odnieśli ciężkie obrażenia. Przewieziono ich do kliniki w Budapeszcie. Sekretarz Szarossy-Kapeller zmarł w drodze skutkiem ran odniesionych. P. Łazarski uległ pęknięciu miednicy w dwóch miejscach, przyczem stracił przytomność, życiu jego jednak nie grozi niebezpieczeństwo. Jak stwierdzono w śledztwie, szofer był podpity i jechał bardzo szybko.

Wuj Robert z Budapesztu. Budapeszt posiada rzadki okaz człowieka, który jest najpopularniejszą osobą w stolicy Węgier. Nazywają go powszechnie „Wuj Robert“, nie troszcząc się o jego właściwe nazwisko. Jest to były przemysłowiec, lat 60, bardzo bogaty mieszkający w Budapeszcie od lat 20. Połowę swego majątku oddał już na cele kościelne, a drugą połowę poświęca na bezpłatne obiady dla biednych. Codziennie o godzinie 12 w południe zajeżdża ze swoją kuchnią ruchomą na plac Kalwina i, ubrany w biały fartuch i biały beret, sam rozdziela porcje gromadom ubogich, które na niego czekają z garnuszkami. Wieczorem widzi go się codziennie w teatrze lub operze w kostjumie według najświeższej mody. Ranek dla ubogich a wieczór oddaje dla siebie.

Pochód myszy. Południe Rosji dotknięte zostało straszną klęską: miljony specjalnego gatunku myszy polnych, zwanych „tuszkanczkami“, wędrują z Syberji, pożerając po drodze całą roślinność. W okolicach Nowoczerkaska na obszarze około 40.000 hektarów niszczycielska armja gryzoniów obliczana jest na 3 miljony. Wobec strasznej klęski zmobilizowano garnizon miasta i oddziały chemiczne z innych okolic, które prowadzą zaciętą walkę gazową i ogniową. Być może, że da się zatrzymać dalszy pochód niszczycielski, obszary jednak, które myszy już opanowały, skazane są na nieurodzaj w ciągu najbliższych dwu lat.

Schwytanie cara. Władze sowieckie po długich wysiłkach schwytały samozwańczego „Cara Michała“, który podawał się za brata cara Mikołaja i ukrywał się wśród ludu na Ukrainie, gdzie cieszył się wielką popularnością. Pojawił się on na widowni jeszcze w roku 1922 i od tego czasu objeżdżał Ukrainę, ukazując się ludowi w specjalnie sporządzonym płaszczu i koronie. Głównie zjednał on sobie wielu zwolenników wśród robotników Zagłębia Donieckiego. „Car Michał“ twierdził, że wkrótce upadnie władza sowiecka i Ukraina będzie monarchją robotniczo - włościańską. W ciągu kilku lat władze sowieckie ścigały samozwańca, ale ludność ukrywała go. „Car“ w ciągu 6 lat prowadził swoją agitację antysowiecką. Dopiero w ostatnich dniach agenci GPU. otoczyli chatę, w której ukrywał się samozwaniec i zażądali, aby się poddał. „Car“ ze swymi zwolennikami bronił się strzałami w ciągu całej doby, wkońcu jednak go schwytano. Wkrótce w Humaniu rozpocznie się sensacyjny proces „cara samozwańca“ oraz jego zwolenników w liczbie 52 osób.

Wystawa osłów. Osioł, zwierzę u nas mało używane, a za to tak nieszanowane, że jego imieniem obdarza się niemądrych ludzi, jest w niektórych krajach najulubieńszem zwierzęciem domowem. Powiadają o nim, że jest wytrzymały, że gdy się go krótko trzyma, to umie pracować, a co najważniejsze, kontentuje się lada jaką paszą, jakiej porządny koń nie tknie. Tak też jest w Anglji, a najbardziej używają osłów przekupnie jarzyn i mleka, którzy codziennie z przedmieść Londynu przywożą pożywienie dla miljonów ludności.



Niedawno odbyła się w Londynie wystawa osłów na którą okazy sprowadzili przeważnie przekupnie. Przekupnie ci noszą od święta ubrania obszyte pieniądzmi, nawet czapki na głowie obszyte są monetami. Na wystawie najbardziej oglądano osła, który bardzo mało je, a ciągle jest gotów pracować, byle tylko jego pan dużo z nim rozmawiał. Osioł ten przedstawiony jest na naszym obrazku.

Mąż dwóch żon. Na wschodnich wybrzeżach Stanów Zjednoczonych znajduje się miasto Nowy Jork, zaś na zachodnich San Francisko. Odległość pomiędzy temi miastami wynosi 5 tysięcy kilometrów. Pomiędzy Nowym Jorkiem a San Francisko kursuje stale samolot pasażerski, przewożący ludzi i bagaże. Do niedawna przelatywał tę przestrzeń olbrzymi samolot o trzech motorach. Pewnego dnia wskutek defektu w śmidze musiał

on lądować w czasie lotu. Nieszczęście chciało, że wpadł przy tem na lokomotywę pociągu pospiesznego, pędzącego właśnie z wielką szybkością. Wszyscy pasażerowie, w liczbie 13 osób, zginęli; cudem uniknął śmierci tylko pilot, nazwiskiem Lou Fotte. Wydobyto go z pod szczątków samolotu z ciężkiemi ranami i oddano do szpitala, gdzie dokonano na nim operacji. Stan jego zdrowia poprawił się obecnie znacznie. W cztery dni po katastrofie zgłosiła się w kancelarji szpitala pewna dama, prosząc o pozwolenie widzenia się z pilotem. Oświadczyła ona, że jest jego żoną. Udzielono jej zezwolenia. Od tego czasu przebywała stale u łoża rannego i pielęgnowała go. W kilka dni potem zgłosiła się druga dama, prosząc o pozwolenie odwiedzenia pilota. Oświadzyła, że jest panią Lou Fotte i dowiedziawszy się o katastrofie przyleciała samolotem, aby odwiedzić rannego męża. Dyrektor szpitala zrobił zdziwioną minę i oświadczył tej drugiej damie, że inna żona pilota znajduje się w szpitalu już od kilku dni. Wówczas dama wyjęła z torebki dokumenty, które potwierdziły prawdę. Dyrektor przeprosił ją i zaprowadził do chorego męża, gdzie znajdowała się pierwsza dama. Pilot spał. Wówczas przyszło do osobliwej sceny. Pierwsza dama zdołała również dowieść dokumentami, że jest żoną pilota. Dyrektor zaproponował wówczas, aby obie damy zaczekały, aż pilot obudzi się i wyjaśni sam sytuację. Po obudzeniu się pilota sytuacja wyjaśniła się istotnie. Oświadczył on bowiem, że obie są jego prawowitemi żonami. Jedną poślubił w Nowym Jorku, drugą w San Francisko. W Nowym Jorku poślubił córkę kupca, ale służba jego wymagała, że musiał przebywać po kilka dni w San Francisko. Chcąc mieć również w San Francisko swój dom, poślubił tam pewną wdowę. Udało mu się to przy pomocy fałszywych dokumenlów. Starał się o utrzymanie obu żon. On był zadowolony i żony były zadowolone, aż dopiero katastrofa zburzyła to wszechstronne szczęście.

Sam się obsłużył. W Ameryce, jak zresztą i gdzieindziej szerzy się prąd pod hasłem: „Człowięcze! obsługuj sam siebie!“ Takie napisy są w restauracjach, gdzie goście sami sobie przynoszą potrawy z okienka kuchennego, na automatach, sprzedających różne towary i t. p. Otóż pewien obywatel Bostonu posunął się znacznie dalej, bo upiwszy się należycie w jednym z szynków nocnych, zjawił się w komisarjacie policyjnym, stanął przed biurkiem dużurującego sierżanta i oświadczył głosem urzędowym:

— Jestem aresztowany!

— Co takiego? — zapytał zdziwiony sierżant.

— Aresztowany!

— Przez kogo?

— Przeze mnie! — odpowiedział obsługujący sam siebie obywatel, z dumą opierając palec prawej ręki o pierś swoją.

— Za co? — brzmiało dalsze pytanie sierżanta, który tymczasem wziął pióro do ręki i zaczął pisać raport.

— Za pijaństwo! — odpowiedział pijak i równym, pewnym głosem, dowodzącym, że nie tak wiele znów alkoholu pochłonął, podyktował imię, nazwisko, wiek i mieszkanie...

— Tak! wszystko w porządku — odparł policjant.

— Czy mogę odejść już do aresztu? Myślę, że cela nr. 5 będzie dla mnie najodpowiedniejsza, jeżeli nie jest zajęta? — kończył człowiek, obsługujący sam siebie, widocznie już obeznany z lokalem.

— I owszem jest wolna. Może ją pan zająć!

— Dziękuję panu! — oświadczył pijak i w chwilę potem drzwi automatyczne aresztu zamknęły się za nim, zatrzaśnięte jego własną ręką.

Ostatni środek na niewiernych parafjan. Pewien pastor ewangelicki w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej ogłosił, że wszyscy, którzy przybędą do kościoła ewangelickiego, zostaną bezpłatnie w niedzielę sfotografowani. W następną niedzielę będą mogli odebrać za bardzo małem wynagrodzeniem swoje podobizny. Biedak pastor chce w ten sposób zachęcić swoich parafjan do jak najczęstszego odwiedzania ewangelickiego kościoła.

Testament umarłego. Lekarze wiedzą o tem od dawna, że niektórzy ludzie żyją o odrobinę dłużej niż się pozornie wydaje. Mianowicie, jeśli ktoś jest szczególnie silny na zdrowiu a przytem jest człowiekiem dzielnym, o woli mocnej, to jego ciało daje znaki życia nawet po ostatniem wydaniu tchu, gdy już pierś nie oddycha a krew przestaje krążyć. Nigdy jednak to życie przydłużone nie objawiło się tak silnie, jak u pewnego adwokata w Filadelfji, w Ameryce. Adwokat zachorował na zapalenie otrzewnej czyli błony, która pod skórą otacza jelita. Jest to choroba bolesna a przytem niebezpieczna i dużo ludzi umiera przez nią. Adwokat był bogatym człowiekiem, zatem żona oddała go pod opiekę aż trzech lekarzy. Przez kilkanaście dni starali się robić wszystko, co im nauka każe, aby uratować chorego, ale nadaremnie: pewnego dnia przed południem zaczął konać a o godzinie wpół do pierwszej popołudniu umarł. Lekarze stwierdzili śmierć, gdyż oczy zasłonięte do połowy opadłemi powiekami były bez ruchu, puls i serce nie biły. Przekonawszy się o tem, lekarze wyszli. Przy łożu zmarłego pozostała płacząca żona z córką jedynaczką.



Ale któż opisze przerażenie i wzruszenie ich obu, gdy po kilkunastu minutach z ust zmarłego zaczęły się wydobywać szepty, z początku niezrozumiałe, potem coraz wyraźniejsze. Zmarły nie poruszając się i nie podnosząc opadniętych powiek, zaczął wydawać słabym, ledwie dosłyszalnym głosem ostatnie rozporządzenia, pouczając żonę, jak ma rozwikłać interesy, gdzie umieścić pieniądze, jak wychowywać córkę i t. d. W ten sposób ów pozornie umarły przemawiał, co prawda bardzo wolno, przez całe 15 minut. Potem szept stawał się coraz niewyraźniejszym, wreszcie ucichł zupełnie. Adwokat umarł tym razem naprawdę.

Meksykańskie bohaterki. Mało znanemi i przez nikogo nieopiewanemi bohaterkami są w kampanji meksykańskiej żony walczących. Zastępy kobiet stale znajdują się na tyłach każdej meksykańskiej kolumny i gdy żołnierze rozbiją obozowisko dla wypoczynku, niewiasty gotują dla nich, starają się o wszelkie ich wygody, tak, że wojsko z nową otuchą i wypoczęte rusza w dalszą drogę. Gdy walka się rozpoczyna, kobiety bardzo często wysuwają się aż do pierwszych szeregów i stojąc obok swoich mężów, ojców i braci, nabijają i podają im karabiny.

RZECZY CIEKAWE.

Statystyka z Lourdes.

Według urzędowych obliczeń do Lourdes, miejsca słynnego cudami, przybyło w 1928 r. 358 specjalnych pociągów, które przywiozły 196.806 pielgrzymów, co łącznie z pielgrzymami, przybyłymi pociągami normalnymi czyni pokaźną liczbę pół miljona ludzi. Z zagranicy przybyło 60.051 pielgrzymów. Chorych przywieziono 15.000 — 5 kardynałów, 20 arcybiskupów i 111 biskupów brało udział w ciągu roku w różnych ceremonjach kościelnych.

W bazylice odprawiono 70 tysiący Mszy św. 784 lekarzy francuskich i innych narodowości badało stwierdzone uzdrowienia i polepszenia na zdrowiu.

Po długiem i bardzo skrupulatnem studjowaniu aktów r. 1926 i 1927 i badaniu zarejestrowanych osób, uznanych zostało w tym okresie 12 uzdrowień, jako niechybnie rzeczy niewytłomaczalne w sposób naturalny.

Na rok 1929 pozostało do badania 87 wypadków polepszeń na zdrowiu, z których pewien odsetek uznany będzie za wielkie uzdrowienia.

Kościół katolicki w liczbach.

Ostatnio wydane we Francji roczniki kościelne podają w streszczeniu wiele ciekawych danych o organizacji Kościoła katolickiego na całym świecie i jego wpływy moralne i duchowe. Na początku tego roku 1929 Kościół Rzymski liczył 14 patrjarchów, 245 arcybiskupów, 908 biskupów, 57 opactw i prelatur, połączonych z juryzdykcją kościelną i 331 wikarjatów apostolskich. Razem 1555 organów władzy kościelnej, które kierują 400 miljonami katolików na całym świecie.

Oprócz tego Kościół liczy 600 biskupów tytularnych, z których niektórzy posiadają również juryzdykcję kościelną, jako prefekci Wikarjatów Apostolskich i na innych stanowiskach.

Stolica Święta jest reprezentowana przy 50 rządach przez swoich delegatów, wśród których jest 24 Nuncjuszów, 4 internuncjuszów, 1 chargé d'affaires i 21 delegatów apostolskich.

Przy Watykanie pozostaje 11 ambasadorów i 18 ministrów pełnomocnych.

Poza duchowieństwem świeckiem pracują w kościele, jako „żołnierze awangardy" różnego typu zakonnicy. Męskie organizacje zakonne liczą: 37 dawnych zakonów, 17 zakonów żebrzących, 8 zakonów Kanoników Regularnych, 66 Zgromadzeń i 11 Instytutów zakonnych. W Rzymie istnieje 30 seminarjów i kollegjów duchownych różnych narodowości i 23 kollegja należące do różnych zakonów.

Z historji kalendarza polskiego.

Kalendarze astronomiczne powstały w Polsce z początkiem XV wieku. Szczególnie nauka ta rozkwita od r. 1424, od objęcia katedry uniwersyteckiej w Krakowie przez Henryka Czecha, który bardzo trafnie miał przyszłe losy ludziom przepowiadać i królowi Jagielle szczęśliwie wróżył. Kalendarze krakowskie taką posiadały wziętość, że już na początku XV wieku w Wiedniu i Heidelbergu p. n. „Practica Cracoviensis" wychodziły. Sami Polacy wydawali je także w Rzymie i w Lipsku.

Pierwsze kalendarze polskie pisane były po łacinie i wydawane p. t. Judiciów i Prognostyków. Najdawniejszy kalendarz, drukowany po polsku, znany jest z r. 1516. Na uwagę szczególną zasługuje kalendarz, wydany w r. 1525 w jęz. polskim. Zewnętrzna strona kalendarza dowodzi wybrednych wymagań publiczności ówczesnej i starania, aby tym wymaganiom uczynić zadość. Ryciny świadczą o wysokim rozwoju sztuki drukarskiej w Krakowie na owe czasy. Znajdujemy w nim wskazówki, którego dnia siać, drzewa owocowe szczepić, dzieci od piersi odłączyć, a nawet kiedy najlepiej strzyc włosy, oblóczyć nowe odzienie i t. p.

W wieku XVII, gdy Akademja krakowska chyliła się do upadku, wziętość kalendarzy krakowskich przeszła do Akademji zamojskiej, gdzie profesorem astronomji był Stanisław Niewieski. Że jednak ogół oświecony, często zawiedziony na przepowiedniach kalendarzowych, nie miał do nich wiary, więc powstało wówczas przysłowie: „Nie zgadnie pan Niewieski, co zrobi Pan Niebieski".

Za czasów saskich najwięcej produkował kalendarzy polskich Kraków i Zamość. Kalendarze Zgromadzeń zakonnych w Wilnie, Częstochowie, Toruniu, Lwowie, Poznaniu, podobnie jak akademickie, poświęcone były wieszczbiarstwu.

Wędrowni dentyści.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki, zwłaszcza w okolicach zachodnich, miasteczka, aczkolwiek dość liczne, a jeszcze więcej poszczególne osady są nieraz bardzo oddalone od większych środowisk, do których trudno się udawać ze względu na odległość. Wobec tego wielu lekarzy-dentystów sprawiło sobie samochody i od czasu do czasu objeżdżają nawet dalsze okolice, gdzie znajdują wielką praktykę i są zawsze mile widziani. Zniknęli wędrowni handlarze, a zato nastali wędrowni lekarze, ale z samochodami.

Niewolnictwo w Arabji.

Niedawno temu pojawiła się w gazetach światowych fotografja jakiegoś murzyna — o którym powiedziano — że zmarł dożywszy przeszło sto lat i że był to ostatni niewolnik — wypuszczony na wolność w Afryce.

Zdawałoby się więc — że niewolników wogóle już niema na świecie — tymczasem w gazetach francuskich znajdujemy artykuł niejakiego dr. Mezansa — który wykazuje — że niewolnictwo kwitnie w całej pełni w Arabji. Handel ludzkim towarem odbywa się tuż przed oczyma angielskiego konsula — który twierdzi — że jest bezsilny wobec bezskrupulatności Arabów i że ohydny handel ten istnieć będzie nadal tak długo — jak długo książęta arabscy sprzyjać będą handlowi ludzkim towarem.

Bardzo znamienne — że na targ wystawiani bywają nietylko Arabowie — lecz nawet żydzi i ludzie innej narodowości. W królestwie arabskiem Hedszasu dowóz niewolników jest urzędowo dopuszczalny, co więcej — do dziś dnia istnieje tam jeszcze podatek — wynoszący dwa funty od jednego niewolnika. Przychwyceni niewolnicy afrykańscy są szmuglowani po przez angielsko-egipską kolonję afrykańską Sudan do wybrzeża — gdzie oczekują na nich handlarze — którzy nocą przewożą ich poza morze.

Załoga okrętów angielskich — krążących stale po tych wodach — wie doskonale o transporcie niewolników — ale nie może mu zapobiec. Niewolników odstawiają do arabskiego portu w Djeddah — gdzie odbywają się targi — na których sprzedają rok rocznie po kilka tysięcy ludzi. Za młode, ładniejsze Arabki płacą na targu w Djeddah po 100 do 120 funtów szterlingów (angielskich pieniędzy). Cena uzależniona

jest od towaru — od zdrowia i wieku. Wewnątrz kraju towar ludzki jest znacznie tańszy — kto umie targować może kupić człowieka za trzy funty szterlingów angielskich. Każdy właściciel niewolnika — może z nim robić — co mu się żywnie podoba — może go podarować, może go odsprzedać za wyższą lub niższą cenę.

Dr. Mezans apeluje do państw europejskich — aby zechciały tej ohydzie położyć kres.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Ferdynand Laskowski** w S.: Jakkolwiek utwory Pańskie są zupełnie dobre, to przecież co do druku poezji żadnych zobowiązań brać nie możemy, gdyż mamy nimi tekę przepełnioną. A tembardziej jesteśmy przeciwnikami wszelkich cykli, które czynią pismo nadzwyczaj jednostajne. — **J. O.** w D.: Słowa „wieczornym“ — „niewinnym“ przecież się nie rymują. Cały wiersz naciągnięty. Weźmy taką ostatnią zwrotkę:

Serce znowu gorączkuje,
Coraz szybciej tętni, bije,
Krwią wybucha i krew pije,
Całem ciałem drga i rucha....
Już nie tętni, ale bucha!

Jakkolwiek cały wiersz jest nieszczególny, to przecież to jedno słowo „rucha“ zupełnie go psuje. — Artykulik będzie, ale kiedy, tego my sami nie wiemy, gdyż w tece czeka dość dużo rzeczy na swą kolej. — **Jan Pelczar** w W. Sz.: Otrzymaliśmy, dziękujemy. — **Edward Cygan** w J.: Umieścimy. — **Stanisław Żak** w L.: Plagjatem czyli kradzieżą literacką jest nietylko to, jeżeli się czyjąś pracę dosłownie powtórzy i swoje nazwisko pod nią podpisze, ale również kradzieżą literacką jest przywłaszczenie sobie cudzego pomysłu i opracowanie go w własny sposób. Czasem temu i owemu taka kradzież ujdzie, boć trudno znać wszystko i zapamiętać, co tam kiedykolwiek ktoś coś napisał, ale niemal zawsze znajdzie się ktoś, kto kradzież tę spostrzeże i ogłosi ją światu. A wówczas wstyd, a nawet złodziej taki może być karany. Najnowszy taki wypadek był ze znaną powieścią Błażejowskiego p. t. „Czerwony błazen“. Długi czas nie wiedziano, że taka sama powieść wyszła znacznie dawniej w języku niemieckim p. t. „Der rote Narr“. Spostrzeżono to dopiero teraz i ogłoszono, i można sobie wyobrazić, jak wobec tego p. Błażejowski wygląda, choć co prawda on powieści tej nie przetłomaczył i nie podpisał swem nazwiskiem, ale wziął z niej pomysł, treść i w niektórych miejscach przerobił. — **K. Ł. Lesiowska** w W.: Z Łęcznej dotychczas nie zapisaliśmy żadnego. Wiersz w numerze. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Miazga** Michał w P.: Po zgłoszeniu się po nagrodę zaraz ją wysyłamy. — **Br. January Wilk** w D.: Być może, że z tego cośby się dało uzyskać ale to zachodu wiele i trzeba iść do badania i przed komisję. Żałujemy Pana bardzo. Anegdotkę zużyjemy. Kliszę odesłaliśmy do redakcji „Gł. Nar.“ zaraz gdy tylko otrzymaliśmy pismo od O. Gwardjana. Załączamy wzajemne pozdrowienia.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Stefanja Polakówna z Borusowy 50 gr. dla Maćka, Szeliga Stanisław 60 gr. dla Maćka, Wincenty Puchała z Morszyna 2 zł. 50 gr., Eug. Kanafarski z Wierzbowa 1 zł. dla Maćka, Józef Kmiecik z Wygody 50 gr. dla Maćka.

Unieważnia się zgubioną książeczkę Nr. 183 na wkład 400 rubli carskich w złocie, wydaną dnia 12. VI. 1912 r. przez były „Poczajów Wołyński Narodny Kredyt“ na imię Jana Iwasyka, wsi Ryszkowce, gm. Wierzbowiec, pow. Krzemienieckiego. — Wołyń.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ul. Bracia Weberowie).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Produkt.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Statek spacerowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wehikuł.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Mieszkaniec Wschodu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Część cyrku.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Służy do kąpieli.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Druty gruby (inaczej).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przysłówek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Król Rzymian.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Tłuszcz roślinny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Między w obc języku.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Jeżeli się czuje do kogo żal.

Litery w czarnych kwadracikach czytane z góry na dół dadzą nazwę wielkiego przedsięwzięcie w roku bieżącym.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Choć zimno pierwszej trzeciej na rzekach
[nie mamy,
Pierwsza pół drugiej z czwartą ptaki, dobrze
[ich też znamy,
Z chęcią w zimie do pieca tuli się trzecie,
Czwarte i drugie jakoś na świecie.
Więc z chęcią „Bajki“ do ręki chwytam
I o całości z przyjemnością czytam.

II.

Co za piękna całość na Polaka głowie
W staropolskim stroju, każdy z chęcią
[powie.
Na biesiadnym stole złota pierwsza trzecia
Krążyła wśród gości w pałacu waszecia.
Druga z trzecią dotkliwie ludzi we śnie
[nudzi,
Czasem nawet tak zmęczy, że się aż człek
[zbudzi.
Dziś całość bardzo rzadko gdzie widzia-
[na bywa.
Tylko w święta narodowe asan jej używa.

III.

Już dawno p. Bzdurze, Kaśkę trzecie czwarte,
On się jednak upiera, że to nic nie warte.
Bo ludzie w jego wieku często pierwsze
[drugie trzecie czwarte,
A że on na wszystko ma oczy otwarte
Prawi, że gdy będzie całość i grosz trze-
cie czwarte piąte,
Wszystko Kasi odda, a co powie — święte

3. Przestawianka.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Ale! ko, ty, nikt, nie, gdy, ni, zna, po, bie, i, dzie, człek, bę, mię, znał, i, ol, zie, poz, rza, że, brzy, mo, mie, ni, gdzie, od, za, nie, wo, do du, tąd, zna, zdo, ce, ne, si, wkrót, rza, prze, stwo.

Z powyższych zgłosek, utworzyć czterowiersz, drukowany w „Roli“.

4. Układanki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Spółgłoska + kij = malarz polski.

Lodowiec + spółgłoska + zaimek wskazujący = miasto.

Imię męskie + samogłoska + poeta polski = miasto.

Spółgłoska + imię męskie = poranek.

Zwierzę dzikie + zwierzę dom. = głos

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 11 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 16 „Roli“: 1. Kwadraty: I. Kultura-tunika-rakarze. II. Choroba-rakieta-batalja. III. Kolega-lektura-garaże. IV. Królowa-lofoty-Watykan. 2. Zagadki: Sok, grom, oko, wór, tam, rut. 3. Szarada: Szałasy. 4. Kwadrat magiczny: Polot, osoba, lotos, obora, tasak.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Ks. Maciej Suchodolski z T., Karol Kopera z W., Józef Topolski z B., Ignacy Smyrdek z N., Jakób Jeziorański z K., Piotr Wenc z S., Alfons Czader z S. i Jan Smaza Z.

Nagrody wylosowali pp.: Karol Kopera z W. i Ignacy Smyrdek z N.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Największym kłamcą na świecie jest ten człowiek, który ci opowiada, coby to on zrobił, gdyby był w twojem miejscu.



W szkole.

— Panie psorze, co to jest rzeczywistość, a co urojenie?

— Rzeczywistość jest to, co się widzi, naprzykład twoje spodnie, a urojenie jest to, czego się nie widzi, naprzykład...

— Wiem już, panie psorze. Naprzykład pańskie włosy.

Okoliczności łagodzące.

Sędzia: — Czy oskarżony może przytoczyć jakieś okoliczności, któreby wpłynęły na zmniejszenie kary?

Oskarżony: — Chyba to, panie sędzio, że już dziesięć razy mnie zamykano i nic nie pomogło.



Topił troski w wódce.

— Dlaczego tak pijesz?

— Chcę utopić w wódce moje troski.

— Topisz je codziennie przez cały tydzień.

— Nie masz pojęcia, ile tym bestjom potrzeba, aby się potopiły.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 26 kwietnia b. r.

Pszenica	50·50—51·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	34·50—35·00	Ziemniaki stoł.	10·00—11·00
Owies	35·50—35·50	Koniczyna nasienn. czer.	230·00—260·00
Jęczmień	33·00—34·00		
Fasola biała	180·00—190·00	Mąka żytnia	50·50—51·00
Groch zwyk.	58·00 - 62·00	Mąka pszen.	77·50—78·50
Siano słodk.	25·00—28·00	Otręby pszen.	29·00—30·00
Łubin żółty	40·00—42·00	Otręby żytnie	27·00—27·50

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 26 kwietnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·32 do 1·80 zł.	Jałownik	od 1·25 do 1·75 zł.
Woły	od 1·35 do 1·90 zł.	Cielęta	od 1·26 do 2·17 zł.
Krowy	od 0·92 do 1·62 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·52 do 2·82 zł.	Nierogaciznę białej wagi	od 3·13 do 3.52